MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 30 WARSZAWA, 19 LIPCA 1936 R. CENA NUMERU 80 GR.

NIEMCY O DMOWSKIM

NAJNOWSZE GŁOSY HISTORYKÓW NIEMIECKICH

OBJEKTYWNE i sprawiedliwe ocenianie współczesnych wypadków dziejowych i wybitnych osobistości politycznych (zwłaszcza własnego narodu) jest niezmiernie trudnym problemem tak dla historyka, jak dla światłego ogółu, dążącego do poznania prawdy. T. zw. opinja publiczna ulega często suggestji, stwarzanej przez grupy ideowo-polityczne czy sfery rządzące; pod wpływem tej hypnozy, roztaczanej dalej przez prasę, kształtują się — jakże często niewolniczo — zapatrywania społeczeństwa. Ale i predestynowany przez zawód i wiedzę fachowiec-historyk nie łatwo może zdobyć się na sąd bezstronny, gdyż przy wartościowaniu wypadków niedawno przebrzmiałych, poza czystemi faktami wchodzą niemal zawsze w grę subjektywne uczucia badacza i jego indywidualny stosunek do faktu [1]). A jednak, gdy chodzi o sprawy ważkie (problemy zasadnicze i aktualne, czy wielkich ludzi) winno się próbować najpewniejszych kryterjów. Jednem z takich kryterjów, na które należy zwrócić baczniejszą uwagę, są głosy obce. Nie mamy tu jednak na myśli bynajmniej *prasy i literatury publicystycznej*, które zmieniają treść poglądów i siłę ich wypowiedzi stosownie do sytuacji i stosunków politycznych między danemi państwami. Bez porównania większą wartość mogą mieć sądy, jakie wypowiadają historycy w *pracach czy artykułach naukowych*.

Studjując prace i czasopisma naukowe (zwłaszcza niemieckie) znajdzie się wiele wypowiedzi na temat naszych stosunków politycznych czy polskich mężów stanu, a to przy sposobności omawiania dziejów sporu polsko-niemieckiego lub odzyskania naszych ziem zachodnich. Znajomość zagadnienia a nieraz i polskiej literatury przedmiotu, dążenie (choćby pozorne) do naukowego objektywizmu, przy często nieukrywanej niechęci do Polski, naogół duża szczerość i nieskrępowanie się aktualną polityką niemiecką (prace naukowe nie są przeznaczone dla ogółu, a z Polaków mogą je wziąć do ręki tylko nieliczni fachowcy), czynią z tych głosów i opinij uczonych niemieckich materjał prawdziwie wartościowy. Oczywiście, trudno mówić o pełnym objektywiźmie i sprawiedliwym sądzie, gdy uczony niemiecki przystępuje do zagadnienia sporu polsko-niemieckiego. Gdy jednak wspomina o polskich ugrupowaniach politycznych i osobistościach, ocenia ich rolę przy budowaniu państwa polskiego czy w walce narodowej z Niemcami, to bezspornie musimy przyznać, że sąd fachowca obcego, obojętnego pozatem na wewnętrzne polskie spory ideowe, będzie objektywniejszy i trafniejszy od wielu opinij naszych własnych.

Stronnictwa Narodowe i jego główni wodzowie z Romanem Dmowskim na czele mają tę historyczną zasługę, że podnieśli postulat zjednoczenia wszystkich ziem polskich i obrony terytorjów zachodnich, oraz że te ziemie zachodnie potrafili dla Polski odzyskać. Dlatego winno się skrupulatnie notować wyżej wymienione głosy niemieckie. Dziś, w chwili wzmożonych ataków na Stron. Narodowe i odmawiania mu wszelkich zasług, gdy sztucznie stwarza się atmosferę przemilczenia i zapomnienia o wielkiem dziele Romana Dmowskiego, tem ciekawsze są oceny wypowiadane przez historjografję wrogiego lecz wielkiego narodu niemieckiego. Byłoby postulatem naukowym i narodowym zebranie wyczerpujących materjałów podających sądy zagraniczne o działalności Stronnictwa Narodowego, w szczególności

[1]) Pomijamy tu zasadniczą kwestję metodyczną, że przy ocenie współczesnych wypadków badacz nie może mieć pełnych materjałów źródłowych, a dalej, że patrząc zbliska na dany przebieg wydarzeń, często nie dostrzega dość dobrze rozwoju i nie przewiduje dalszego przebiegu.

o pracy Komitetu Narodowego w Paryżu i o jednym z największych mężów stanu, jakim jest bezsprzecznie Dmowski. Rozpoczynając zbieranie tego rodzaju materjału, podaję tu parę wyjątków z prac naukowych niemieckich, wydanych w ostatnich kilku latach.

Kilka głosów niemieckich mówi o odzyskaniu przez Dmowskiego dla Polski Pomorza oraz o jego zamysłach o Prusach Wschodnich. W czasopiśmie „*Baltische Studien*" (B. 36. *Neue Folge*. Stettin 1934) Erich Randt, dyrektor Archiwum państwowego w Szczecinie, omawiając najnowsze prace dotyczące Polski, wymienia (na s. 309) H. Rogmanna „*Wilson und die deutsch-polnische Frage*" i stwierdziwszy, że Wilson nie zamierzał zrazu oddawać Polsce „korytarza" lecz tylko zneutralizować Wisłę, pisze następnie:

„...Sosnowski [2]) i właściwy twórca nowej Polski, Dmowski, zyskali jednak po zawieszeniu broni pro-polskiego „rzeczoznawcę" w prof. Lordzie, z którym na zupełnie nieobeznanego we wschodnio-europejskich zagadnieniach, Wilsonie, wpłynęli rozstrzygająco w duchu polsko-francuskich usiłowań i doprowadzili w rezultacie do upadku pierwotnych ideałów Wilsona o zaprowadzeniu pokoju w Europie..."

Erwin Höltze podaje w „*Historische Zeitschrift*" (B. 153. H. 1. 1935. s. 210) referat z własnej pracy „*Die Freie Stadt Danzig*" (Stuttgart 1935):

„...Wykazano bezpośrednio z pomocą polskich źródeł, jak polska propaganda za „dostępem do morza" okazywała w czasie wojny światowej jedynie w grupie emigrantów Romana Dmowskiego usilne dążenie zdobycia Gdańska. Dmowski spróbował także potem, po zawierzeniu broni, przez „przejazd" wojsk polskich dostać Gdańsk gwałtem do rąk i wytworzyć przez to fakt dokonany. Podczas gdy „rzeczoznawcy" w Paryżu sekundowali mu przy przygotowaniu układu i pełne osiągnięcie celu wydawało się być bliskiem, Niemcy po raz pierwszy w tych ponurych dniach wypowiedziały *veto* przeciw żądaniu przewozu wojsk..."

Erich Maschke, profesor Uniwersytetu w Królewcu, daje w „*Alt preussische Forschungen*" (B. 12. 1935. s. 166) recenzję rozprawy J. Giertycha „Za północnym kordonem". Maschke pisze o autorze:

„...obstaje przy historycznych i politycznych wywodach Romana Dmowskiego i jego planie, aby większą część Prus Wschodnich pozyskać dla Polski, a z reszty utworzyć wolne państwo; jedno i drugie pozostaje dla niego jeszcze nie ziszczoną ideą..."

W czasopiśmie „*Nation und Staat*" (B. 6. 1932/3. s. 683) znajduje się omówienie książki Axela Schmidta „*Ostpreussen-deutsch in Vergangenheit, Gegenwart u. Zukunft*" (1933):

„...Roszczenia do Prus Wschodnich znalazły zaciętych orędowników szczególnie w Narodowej Demokracji i jej wodzu Romanie Dmowskim. Ten ostatni uzyskał niewątpliwie wiele podczas wojny u mocarstw Ententy dla Polski dzięki swym pismom, nie przeprowadził jednak swych postulatów wschodnio-pruskich..."

W „*Deutsche Wissenschaftliche Zeitschrift für Polen*" (B. 29. 1935. s. 532) omawia W. Kuhn dzieło G. Wirsinga „*Zwischeneuropa und die deutsche Zukunft*" (Jena 1932) i podaje za Wirsingem syntezę powstania nowej Polski:

„...powstanie państwa polskiego wśród przeciwstawienia obu wielkich idej, narodowo-demokratycznej, prowadzonej przez Dmowskiego, która kładła główny ciężar na rzeczywiście przez Polaków zamieszkane obszary zachodnie, oraz reprezentowanej głównie przez Piłsudskiego, która wyraziła się w starem rozszerzeniu historycznej Polski..."

Najciekawszym głosem jest jednak niewątpliwie artykuł wspomnianego już prof. Eryka Maschkego, młodego, ale wybitnie zdolnego historyka, o Romanie Dmowskim („Roman Dmowski". *Osteuropa*. 10.1935. H. 7, s. 391—410). Maschke, niewątpliwy nacjonalista niemiecki a nasz wróg, pisał swe studjum oczywiście nie z sentymentu dla wodza polskiej partji antyniemieckiej, lecz dla przedstawienia jego wielkiej indywidualności i jego wpływu na światopogląd i ideje Polaków (sympatje okazuje natomiast M. dla obozu legjonowego). Położywszy główny nacisk na działalność Dmowskiego jako pisarza politycznego i myśliciela, omawia stosunkowo krótko działalność polityczną, powołując się na podstawowe dzieło prof. Waltera Reckego „*Die polnische Frage als Problem der europ. Politik*" (Berlin 1927). Zaznaczywszy antagonizm i walkę między Dmowskim a Piłsudskim pisze Maschke:

„...W historycznem przedstawieniu nie można rozdzielać postaci Dmowskiego od Piłsudskiego. Ale przy tym związku zapomina się zbyt często, czem on stał się dzięki sobie i przez swój własny czyn: politycznym filozofem Polski na przełomie XX w... Jednakże ta nowa Polska spoczywa niemniej na zrealizowaniu jego politycznych idej, jak na micie Marszałka i Legjonów... Dobrze znane jest historyczne znaczenie drogi, po której prowadził on Polskę do Wersalu i przed życzliwe forum zwycięskich mocarstw... Obok tego jednak stoi jego twór duchowy, jego dzieło jako politycznego myśliciela, jego głęboko sięgający wpływ jako wychowawcy Polaków w narodowem samouświadomieniu — ogólne dzieło, które mu w historji duchowego rozwoju jego narodu przyznaje szczególną pozycję..."

Po tej charakterystyce, podaje M. nieco wiadomości biograficznych o Romanie Dmowskim, kreśli początki jego działalności i omawia pierwsze prace. Obszernie streszcza „Myśli nowoczesnego Polaka", podkreślając ich wielki wpływ na uświadomienie polityczne i narodowe Polaków. Wyciągając (może nieco przesadne) wnioski o mieszczańskim ideale, podanym przez Dmowskiego, stwierdza:

„...Bez ideału, który on postawił i bez budzącej niechęć pruskiej karności nie byłyby dzisiejsze polskie ziemie zachodnie tem, czem stały się dla młodego państwa..."

poczem daje ciekawy pogląd, że bez działalności Dmowskiego i jego partji struktura nowego państwa polskiego byłaby bliska... Litwie.

Na dalszych stronicach uwydatnia M. rozwój działalności politycznej Dmowskiego: Tokjo, wybory do Dumy i przewodnictwo Koła polskiego, omawia dzieło „Niemcy, Rosja i kwestja Polska", wkońcu przechodzi do lat wojennych. Maschke potakuje zdaniu Reckego (*op. cit.*, s. 295), że

„...znaczenia polityka Romana Dmowskiego dla powstania dzisiejszego państwa Polskiego nie można dość wysoko ocenić..."

a dalej dodaje od siebie

„...Bezwątpienia bez udziału Dmowskiego państwo polskie nie byłoby nigdy tem, czem pod jego wpływem mogło się stać na Konferencji Pokojowej. Było ono dziełem Wersalu, a to znaczy, skoro się przyjmuje zgoła samodzielną aktywność Polaków, dziełem Dmowskiego..."

Po krótkiem wyliczeniu głównych faktów z pierwszych lat istnienia Państwa Polskiego aż do zamachu r. 1926 włącznie, mówi M. obszerniej o wychowaniu narodu przez dzieła polityczne

[2]) Jan Jerzy Sosnowski działacz polski w Stanach Zjednocz., autor książki „Prawda dziejowa". Warszawa 1925.

Dmowskiego. Omawia krótko „Świat powojenny i Polska", natomiast obszernie „Przewrót". Tu, obok wyrazów uznania próbuje wszcząć także polemikę i urażony jest twierdzeniem, że podczas Kongresu Wersalskiego masonerja starała się ratować Niemcy (oczywiście jest to fakt niemiły dla dzisiejszych Niemiec), oburza się na uważanie niemieckiego ruchu narodowo-socjalistycznego za groźbę dla Polski, dziwi się nieufności Dmowskiego dla poczynań rządów Piłsudskiego. Niewątpliwie Maschke zdradza wiele sympatji dla rządzącego Polską obozu legjonowego i nie dostrzega (czy też nie chce zauważyć) głębokich różnic, dzielących ten obóz od obozu narodowego. Tem więcej podkreślić należy ogromnie charakterystyczne zdanie, że nawet obecna Polska, rządzona przez ludzi Piłsudskiego, oparta jest ideowo na myślach wyszłych od wodza Stronnictwa Narodowego:

„...Jeśli Dmowski sam, jako osoba, stoi może już poza światem dzisiejszej Polski, to jego ideje są jednak elementarnemi składnikami polskiego bytu. Albowiem w głębi jednocześnie z polityczną klęską dokonuje się duchowe zwycięstwo świata, który reprezentował Roman Dmowski w ciągu swego życia. Ideje mocarstwowe nowej Polski, wzrastającej pod władzą marszałka Piłsudskiego, są wzięte, z wyjątkiem stosunków czysto narodowych, z duchowego skarbca Narodowej Demokracji i Romana Dmowskiego..."

Słusznie sądzi M., że ideje morza, opieki nad Polonją zagraniczną i dążenia mocarstwowe nie mogły powstać w świecie ideologji socjalistów i legjonistów Piłsudskiego. Ideje te, zaszczepione całemu narodowi dzięki pismom Romana Dmowskiego, musiały być przejęte nawet przez jego wrogów.

Ocalenie i odzyskanie najważniejszych i najkulturalniejszych naszych ziem, a przez to zjednoczenie całej Polski, oraz wychowanie narodu przez wszczepienie mu „myśli nowoczesnej" oraz idei nacjonalistycznej — te dwa pomnikowe dzieła życia Romana Dmowskiego i dwa filary bytu niepodległej Polski — zyskały objektywne i naukowe stwierdzenie w historjografji niemieckiej, pozatem wrogiej Polsce, a w szczególności polskiemu ruchowi narodowemu i antyniemieckiemu. Prosta prawda o wielkości i zasłudze Romana Dmowskiego, którą uznają i podnoszą wrogowie, może wejdzie w końcu także w sumienia i mózgi całego narodu polskiego, mimo zawiści małych i zaślepionych.

MAF.

NASZE MINIMALNE POSTULATY W GDAŃSKU

ZAWARTY[1]) w tych dniach kompromis niemiecko-austrjacki, w którym Niemcy — za cenę wprowadzenia Austrji w łożysko polityki niemieckiej — zrzekły się dążenia do państwowego „*Anschlussu*", jest dość daleko idącem wycofaniem się z jednego z kierunków politycznej ekspansji, w którym dotąd zarówno Trzecia Rzesza, jak Republika Wejmarska w sposób jawny i niezachwiany kroczyła.

Co jest przyczyną tego wycofania się? Czy Rzesza zapewniła sobie spokój od południowej ściany — na to, aby zdobyć tem większą swobodę ruchów na granicach innych? Czy też jest to wyraz rzeczywiście pokojowej — przynajmniej na czas pewien — polityki Hitlera? — Czas to pokaże.

Być może, że prawdziwe jest przypuszczenie pierwsze. W takim razie, nie pozostaje nam nic innego, jak szykować się do wojny.

Być może jednak również, że prawdziwe jest przypuszczenie drugie. W takim razie być może, że istnieją widoki na pozawieranie przez Niemcy podobnych kompromisów również i na pozostałych granicach.

Jeśli głównem jabłkiem niezgody między Włochami i Rzeszą była Austrja, to głównem — przynajmniej w chwili obecnej — jabłkiem niezgody między Rzeszą a Polską jest Gdańsk. Istnieje wiele analogij między Gdańskiem a Austrją. I tu i tam chodzi o twory państwowe (lub *quasi*-państwowe) o ludności przeważnie niemieckiej, politycznie zupełnie z Rzeszą niezwiązane i uzależnione (Gdańsk faktycznie i formalnie, Austrja tylko faktycznie) od państw obcych (Polski i Włoch), a także od pewnych czynników międzynarodowych (Liga Narodów, oraz państwa gwarantujące samodzielność i republikańskość Austrji). Zarówno Austrja, jak Gdańsk, były przedmiotem niemieckich dążeń do „*Anschlussu*". Zarówno Austrja, jak Gdańsk są terenem zmagania się narodowego socjalizmu z niemiecką, miejscową opozycją (w Austrji będącą u władzy), zabarwioną separatystycznie i „niepodległościowo".

Być może kompromis w sprawie Austrji zrobiły Niemcy na to, by tem łatwiej osiągnąć swe cele w Gdańsku i wogóle na wschodzie. Ale być też może, że *iunctim* między sprawą Austrji, a sprawą Gdańska wygląda inaczej. Że to, co było możliwe w Austrji, będzie też możliwe i w Gdańsku.

Czytaliśmy różne napomknienia niemieckie, że Niemcy gotoweby były zgodzić się na znaczne rozszerzenie uprawnień Polski w Gdańsku — za cenę eliminacji z Gdańska Ligi Narodów, zdławienia antyhitlerowskiej opozycji i ustabilizowania w Gdańsku rządów narodowo - socjalistycznych. Słyszeliśmy również — z ust bardzo kompetentnych — opinję, że istnienie gniazda niemieckiej, antyhitlerowskiej opozycji, jakiem jest Gdańsk, promieniujący antyhitlerowskiemi nastrojami na Niemcy, jest dla Niemiec bardzo niewygodne.

Czy rzeczywiście Rzesza gotowa jest do ugody w sprawie Gdańska? I czy w ugodzie tej gotowa jest pójść daleko? Jedno w każdym razie wiemy napewno: ceną, jaką musielibyśmy Niemcom za tę ewentualną ugodę zapłacić — byłoby zdławienie opozycji antyhitlerowskiej i uwolnienie Wolnego Miasta z pod wpływu Ligi Narodów.

Nie jest to cena mała. Układem rzeczy dość paradoksalnym zainteresowani jesteśmy w tem, by zasadniczo niesympatycznej nam Ligi Narodów z Gdańska nie usuwać i by roli zasadniczo ob-

[1]) Artykuł niniejszy zamieszczamy jako zasługujący na uwagę wyraz opinji, będący przedmiotem dyskusji w szerokich kołach społeczeństwa, Red.

cych nam (poza katolikami o wiele bardziej obcych niż hitlerowcy), żywiołów opozycyjnych w Gdańsku (prócz katolików, socjaliści, komuniści i niemiecko-narodowi, t. j. dawni Prusacy) nie uszczuplać. Opozycja gdańska, przez samo to, że jest opozycją, jest czynnikiem, wpływającym na uniezależnienie Gdańska od woli Berlina. A Liga Narodów, poza tem, że zapewnia w Gdańsku pewną ochronę żywiołom opozycyjnym, ułatwia nam ingerencję w sprawy gdańskie. Gdyby znikł z Gdańska Wys. Komisarz Ligi Narodów, gdyby znikły z konstytucji gdańskiej artykuły, zabezpieczające prawa opozycji i dające jej nadzieję dojścia kiedyś do władzy, a z życia gdańskiego — te żywioły, które się na opozycję składają — swoista forma „unji personalnej" między Gdańskiem a Rzeszą, sprawowanej przez suwerena: partję narodowo-socjalistyczną, byłaby raz na zawsze utrwalona. Byłby to dla naszych praw w Gdańsku wielki cios.

Nie potrzeba wyjaśniać, jak trudno byłoby nam zdobyć się na zapłacenie takiej ceny.

Jak można wnosić z niedawnego artykułu p. Mackiewicza w „Słowie" wileńskiem, istnieją jednak w Polsce żywioły, które gotoweby były na zapłacenie tej ceny przez Polskę się zgodzić. Na usprawiedliwienie tych żywiołów można podać, że usunięcie Gdańska z pod wpływu Ligi Narodów — jakkolwiek byłoby dla nas niepożądane — byłoby faktem, zgodnym z logiką rozwoju życia. Bo Liga Narodów jest tworem obumierającym i podtrzymać na czas dłuższy poszczególne jej funkcje można tylko sztucznie.

Zapewne, kompromis w rodzaju tego, o którym mówi p. Mackiewicz, jeszcze w powietrzu nie wisi. Rozważania na ten temat należą do rozważań raczej teoretycznych. Mimo to, — jako o możliwości teoretycznej, — podyskutować na ten temat można.

Cena, o której wyżej wspomniano, jest ceną dużą.

Czy nie zapłacimy jej nigdy i pod żadnym pozorem?

Moglibyśmy się na tę cenę zdobyć tylko wówczas — gdyby nam nie mniejszą cenę zapłacono wzamian. Trzeba to powiedzieć zgóry, w imieniu polskiej racji stanu, w imieniu polskiej opinji publicznej i w imieniu tych czynników w życiu polskiem, które od dzisiejszych rządców Polski niedługo zażądają rachunku — a do wiadomości zarówno strony niemieckiej, jak i ludzi, kierujących dziś polityką Polski, — że jakikolwiek kompromis w sprawie gdańskiej, obejmujący rewizję statutu wolnego miasta, dopuszczalny byłby tylko pod trzema conajmniej warunkami: pod warunkiem 1) zabezpieczenia Polsce militarnego panowania nad terytorjum wolnego miasta, 2) zabezpieczenia Polsce w Gdańsku pełni praw gospodarczych, 3) zapewnienia żywiołowi polskiemu w Gdańsku pełnej możności rozwoju.

Nie układamy tu projektu konwencji, nie mamy więc obowiązku warunków tych rozwijać i określać ściślej. Możemy jednak tytułem przykładu, dla nadania naszym wywodom większej konkretności, przytoczyć parę postulatów, które podanym wyżej trzem warunkom przynajmniej w ogólnym zarysie czyniłyby zadość.

A więc co do punktu pierwszego możnaby ustalić, (przypominamy jeszcze raz, że wyliczenie nasze ma jedynie charakter przykładu i nie rości sobie pretensji do wyczerpania tematu), co następuje.

1) Policja wolnego miasta musiałaby się stać rzeczywiście policją, musiałaby przestać być zamaskowanem wojskiem.

2) Uzbrojone formacje ochotnicze Niemców gdańskich musiałyby ulec skasowaniu

3) Polska musiałaby uzyskać prawo utrzymywania w Gdańsku swoich garnizonów wojskowych, liczebnie dostatecznie silnych, by zabezpieczyć Gdańsk przed agresją z zewnątrz, lub przed zamachem stanu od wewnątrz. Możnaby zresztą uczynić wszystko, by zachować pozory i stacjonowaniu w Gdańsku polskiego wojska odebrać cechy drażniące. Możnaby np. rozszerzyć tylko i odpowiednio zinterpretować te prawa, które już Polska w Gdańsku posiada. A więc: a) rozszerzyć uprawnienia polskie na Westerplatte, umożliwiając trzymanie tam poważnej polskiej załogi, pobudowanie umocnień, bateryj i t. d. b) zapewnić Polsce możność utrzymywania uzbrojonej straży własnych objektów (kolei, gmachów pocztowych i t.p.), przyczem ta straż mogłaby nosić mundury kolejowe, pocztowe i t. p., być skoszarowaną na terenach kolejowych i pocztowych, albo na *ad hoc* dokupionych terenach w ich pobliżu, lecz być faktycznie wojskiem, silnem liczebnie, wyposażonem w artylerję, broń pancerną, lotnictwo i t. d. Należałoby pozatem obmyślić odpowiednie uzasadnienie dla stacjonowania polskiego wojska w północno-wschodniej części obszaru Wolnego Miasta (rejon Nytychu i Tiegenhofu), gdzie niema żadnych polskich objektów.

Co do punktu drugiego:

1) Musiałyby ulec skasowaniu autonomiczne, gdańskie władze celne, a na ich miejsce musiałyby się zjawić komory celne i straż celna polskie.

2) Musiałaby ulec skasowaniu Rada Portu, a drogi wodne i port musiałyby przejść w ręce rządu polskiego.

3) Całe życie gospodarcze Gdańska musiałoby zostać podporządkowane Polsce.

Co do punktu trzeciego:

1) Prawa mniejszości polskiej w Gdańsku musiałyby uzyskać realne, a nie papierowe zabezpieczenie. (Np. szkolnictwo polskie w Gdańsku mogłoby być podporządkowane polskiemu ministerstwu oświecenia, oczywiście z tem, że odpowiednie fundusze na jego potrzeby dostarczane będą przez skarb Wolnego Miasta).

2) Obywatele polscy musieliby mieć nieograniczoną możność osiedlania się w Gdańsku, zarobkowania tam i nabywania gdańskiego obywatelstwa. Możnaby nawet ustanowić tam kataster narodowościowy, z tem, że każdy obywatel polski osiedlający się w Gdańsku, automatycznie i bez potrzeby uzyskiwania naturalizacji stawałby się członkiem kurji polskiej, przyczem kurja polska posiadałaby samorząd (zarządzała swojemi szkołami i t. d.) i miała pewien udział w ogólnych sprawach Wolnego Miasta.

Sformułowaliśmy powyższe punkty tytułem przykładu. Określają one zgrubsza kierunek, w którym musiałaby pójść reorganizacja Wolnego Miasta, gdyby komisarz Ligi Narodów — a wraz z nim prawa miejscowej niemieckiej opozycji — miały być z Gdańska usunięte.

„Warszawski Dziennik Narodowy" określił już, czem byłoby z polskiego stanowiska zgodzenie się na to usunięcie — bez takiej reorganizacji

JĘDRZEJ GIERTYCH

ŻYD NA ROLI

ZNANE jest głośne powiedzenie, jakie się żydom wyrwało, że: „wasze ulice, a nasze kamienice". Jest to stwierdzenie ofensywy kapitału żydowskiego na nieruchomość miejską. Wystarczy przejść się ulicami południowej dzielnicy Warszawy, aby i tu już spostrzec coraz większą liczbę domów, należących do żydów. W chwili powszechnego spisu ludności dn. 9 grudnia 1931 r. żydzi stanowili 30% ogółu ludności mieszkańców stolicy. Natomiast na I stycznia tegoż roku w rękach żydowskich znajdowało się przeszło 43% ogółu nieruchomości miejskich Warszawy. A trzeba dodać, że obliczenie to dokonane jest na podstawie imion i nazwisk, brzmiących wyraźnie z żydowska.

Przechodzenie nieruchomości miejskich w ręce żydowskie jest faktem bardzo niepokojącym, ale już sprawą prawdziwie groźną jest osiedlanie się żydów na roli.

Z okazji przyjazdu do Warszawy lorda Marley'a, który wygłosił odczyt o kwestji żydowskiej w chwili obecnej, p. Henryk Lanberg wydrukował w „Kurjerze Warszawskim" znamienny artykuł, który zakończył następującemi słowy: „Powstawanie pierwszych żydowskich szkół i wzorowych farm żydowskich (ostatnio w maj. Powisie, woj. warszawskiego) zapisać należy na karb objektywnego zrozumienia potrzeb chwili obecnej wśród społeczeństwa żydowskiego".

Istotnie, żydzi potrzeby chwili obecnej pojmują bardzo objektywnie, a nie myśląc zgoła o emigracji z Polski, zakładają szkoły i farmy żydowskie, aby się przygotować do gospodarowania na roli, skoro nas z niej potrosze wyrugują. Żydzi zdają sobie doskonale sprawę z tego, że żadnego kraju nie opanują w zupełności, jeżeli ziemia nie będzie się znajdowała w ich rękach. To też protokuł szósty Mędrców Syjonu mówi wyraźnie o wyzuciu arystokracji z ziemi i jej obdłużeniu.

„Arystokracja gojów" — czytamy w Protokułach Mędrców Syjonu — „jako siła polityczna nie istnieje i nie mamy potrzeby liczenia się z nią, lecz jako posiadaczka terenów szkodliwa jest dla nas z tego powodu, że może być samodzielna co do źródeł swego utrzymania. Wobec tego za wszelką cenę musimy wyzuć ją z ziemi. Najlepszym sposobem po temu jest powiększenie ciężarów czyli obdłużenie ziemi. Sposób ten utrzyma własność ziemską w stanie bezwzględnego pognębienia. Arystokracja gojów dziedziczna, nie umiejąca zadowolnić się małem, szybko zbankrutuje".

W Sowietach załatwiono się z arystokracją i wielką własnością bardzo szybko. Nawet chłopów wyzuto z indywidualnego posiadania ziemi, chciano nadto zupełnie rozerwać odwieczny związek chłopa z ziemią, tworząc fabryczne kołchozy.

Obdłużenie zaś ziemi w Polsce doszło już bodaj kresu. Wszelkie świadczenia i fiskus wyprowadzają dotychczasowych właścicieli ziemi na dziadów. Oto nowa serja wystawionych majątków na licytację: niewiele, tylko 1,265. A bezrolny i małorolny chłop nie ma z tego nic, bodaj ma jeszcze gorzej. Ziemię w terenach przygranicznych kupują Niemcy, a gdzieindziej żydzi.

Kapitał żydowski kupuje z pod młotka ziemię polską. Ale niechby jakiś Polak przedsiębiorczy spróbował nabyć większy lub mniejszy folwark czy tak zwany ośrodek z licytacji! Dostanie taką „szkołę", że odechce mu się gospodarzyć na własnej polskiej ziemi... Najpierw będzie otrzymywał różne papierki... aż przeklinając udręki własnego losu, opuści zagon, na którym zaczyna gospodarzyć żyd.

Przed wojną europejską na 2000 większych majątków ziemskich w Galicji tysiąc sto znajdowało się wrękach żydów. Żydzi w ciągu lat czterdziestu wykupili tam na wieczystą własność 532 obszary dworskie o powierzchni 301,600 hektarów, a 570 mieli w dzierżawie. A co gorsza, do roku 1900 żydzi nabyli 45,000 gospodarstw chłopskich.

Należy zwrócić uwagę na te cyfry, tłumaczą one bowiem ową słynną nędzę galicyjską. Ziemia przechodziła w ręce żydów i stąd wynikała coraz większa nędza chłopa polskiego i ruskiego, który musiał emigrować, bo ostatni kęs chleba we własnym kraju zabierał mu żyd, co osiadał na jego zagonie.

Do ziemi szlachcica żyd dostawał się przeważnie przez las, to też żydzi opanowali zupełnie galicyjskie lasy, a za lasem zdobyli przemysł. Oto np. Skole, którego obszar leśny jest większy od niejednego małego państewka, jest własnością żydowską. A teraz jeszcze zwróćmy uwagę, że hurtowy handel zbożem i cukrem jest w znacznej mierze opanowany przez żydów! Maluczko, a we własnym kraju zostaniemy powolnem stadem strzyżonych baranów.

Pęd żydów do roli nie jest rzeczą przypadkową, jakby się zdawało. Nie jest to również objaw konjunktury powojennej. Wypływa on bowiem z programu żydowskiego, jest tego programu konsekwentnem urzeczywistnieniem. Zwróciliśmy już uwagę na Protokuły Mędrców Syjonu, które nakazują polityce żydowskiej pracować w tym kierunku, aby w ten czy inny sposób obdłużona ziemia nie mogła dalej karmić odwiecznego właściciela-goja. Na potwierdzenie tej tezy Protokułów Mędrców Syjonu mamy także niesłychanie ciekawy dokument w postaci odezwy z paryskiej *Alliance Israelite*, rozesłanej w roku 1889 do wszystkich galicyjskich gmin żydowskich. Oto słowa tej odezwy:

„Bracia i współwiercy! W całym świecie nie ma dziś zakątka ziemi, któryby do naszego zawładnięcia i wyłącznego nad nim panowania tak dobrze się nadawał, jak właśnie ziemia galicyjska. Ten kraj musi być naszym krajem—wszystko nam sprzyja po temu! Starajcie się wszystkiemi siłami zawładnąć w zupełności tą ziemią. Starajcie się wyprzeć ostatecznie chrześcijan ze wszystkich sfer ich działalności i stać się jedynymi niepodzielnymi panami kraju! Starajcie się wszystko to, co do nich jeszcze należy, zagarnąć i ująć w swoje ręce, a jeżeli nie macie sami ku temu dosyć pieniędzy, nasz związek wam ich dostarczy, ile będzie potrzeba! Zbieranie ofiar na ten cel już się rozpoczęło i nadspodziewanie idzie ono

pomyślnie. Na ostateczne wyrwanie ziemi galicyjskiej z rąk Galicjan składają się bogacze całego świata, Wytężcie więc, bracia, wszystkie swoje siły, aby ten cel... co najrychlej osiągniętym został!"

Jest to więc, jak widzimy; wyraźnie i stanowczo zakreślony żydowski plan wywłaszczenia Polaków z ziemi.

W Galicji—przy pomocy *Alliance Israelite*, *Ica* i *Hilfsverein*'u żydzi stworzyli własne kooperatywy, zorganizowali tani kredyt we wszystkich gałęziach rzemiosła i przemysłu, a ponadto do czasu wielkiej wojny opanowali przeszło połowę majątków dworskich i 600,000 gospodarstw chłopskich, a reszta ziemi, odłużona, też w znacznej mierze podlegała ich konroli.

W byłej zaś Kongresówce nietyle powstanie r. 63, za którego kulisami zresztą też działali żydzi, zrujnowało kraj materjalnie— ile uobywatelenie żydów, które otrzymali dzięki margrabiemu Wielopolskiemu, ten zaś zawdzięczał swą karjerę polityczną żydowi Enochowi, co margrabiego zaprotegował księciu Gorczakowowi. Kraj, wycieńczony powstaniem i przechodzący przesilenie, został przez to równouprawnienie oddany na nieokiełznaną lichwę zorganizowanego kredytu żydowskiego, który zrujnował ziemian. Uobywatelenie żydów, rujnując ziemian, zarazem uniemożliwiło spolszczenie miasteczek i miast, a Kresy wschodnie, gdzie panował żywioł polski, oddane zostały na pastwę elementu żydowskiego, np. Pińszczyzna.

Żydzi prowadzą od lat i to różnemi sposobami celową akcję, zmierzającą do wywłaszczenia Polaków z ziemi, rozumiejąc dobrze, iż w ten sposób stworzą Judeo-Polskę. Oni będą dysponować kapitałem, będą kierownikami takich czy innych monopolów, ujarzmiających życie gospodarcze i społeczno-polityczne kraju, będą posiadać ziemię, a mając nadto w swoich rękach ośrodki dyspozycji duchowej—staną się żywiołem całkowicie panującym w Judeo-Polsce. Wówczas emigrować zaczną heloci polscy, o ile oczywiście będą mieli gdzie.

Istnieje żydowskie towarzystwo *„Ort"*, które między innemi krzewi pracę rolną wśród żydów. Zmarły przed trzema laty Adolf Peretz prowadził propagandę na szeroką skalę, aby jaknajliczniejsze masy żydów skierować na rolę. Wysunął tezę o „realizacji wielkiego planu przewarstwowienia ludności żydowskiej". Teza ta została przyjęta przez Tow. *„Ort"*. A wprowadzenie w życie przewarstwowienia ludności żydowskiej czyli osiedlenie żydów na polskim zagonie, to znaczy wywłaszczenie nas z ziemi. W znacznej części żydzi to już zrobili. Opanowanie ziemi ułatwia im ruina polskich warsztatów rolnych. Dawny szlachcic zeszedł już na dziady, chłop idzie z torbami. A wedle planu Peretza na popieranie zbiorowych poczynań żydowskich w dziedzinie przemysłu, rzemiosł i rolnictwa potrzeba było na razie 20 miljonów złotych, z czego połowę miało dać żydostwo amerykańskie.

Pamiętajmy słowa odezwy *Alliance Israëlite*, skierowanej do wszystkich gmin żydowskich w Galicji: „...starajcie się wszystko to, co do Polaków jeszcze należy, zagarnąć i ująć w swoje ręce, a jeżeli nie macie sami ku temu dosyć pieniędzy, nasz związek wam ich dostarczy, ile wam będzie potrzeba... składają się bogacze całego świata..."!

Żyd na roli w Polsce, to wywłaszczenie nas z ostatniej placówki gospodarczej, to utrata całkowita samodzielności, to podbój kraju zupełny.

Żydzi po cichutku wykupywali ziemię w Palestynie, aż pewnego dnia Arabowie stanowiący większość, spostrzegli się, że nie są gospodarzami we własnym kraju. I oto mamy w Palestynie rewoltę.

Na wiele lat przed wojną chłopi, broniąc się przed zalewem żydostwa, uchwałami rad gminnych zabraniali osiadać żydom po wsiach do owych gmin należących. W 1917 r. sąd pokoju m. Bałchotowa, ówczesnej gubernji Piotrkowskiej, w sprawie wytoczonej przez miejscowego wójta przeciwko Chaimowi Lewkowiczowi z żądaniem wyprowadzenia się z z chłopskich gruntów, które zamieszkiwał, wydał wyrok następujący:

„Eksmitować Chaima Lewkowicza z domu chłopa Franciszka Szrajera, albowiem choć na zasadzie § 16 kodeksu cywilnego żydzi posiadają w Polsce wszelkie prawa obywatelskie, lecz z chwilą ogłoszenia przez rząd rosyjski w roku 1891 prawa, zabraniającego żydom kupowania, a nawet zamieszkiwania gruntów chłopskich w Polsce, sąd opierając swe postanowienia na tem może wydać eksmisję. Sąd odrzuca sprzeciw Lewkowicza, który się broni tem, że jakoby po rewolucji w Rosji zniesione zostały wszelkie ograniczenia, a więc i w Polsce tem przestarzałem prawem posługiwać się nie można. Co do tego punktu sąd zaznacza, że prawo to wydane zostało specjalnie dla Polski, i obecny rząd rosyjski niema prawa wydawać, ani kasować praw dotyczących Polski, również i władze okupacyjne nie cofnęły tego prawa, które w myśl konferencji haskiej pozostaje i trwa w swej mocy".

Żargonowy „Hajnt" nazwał ten wyrok historycznym dokumentem. Sięgnijmy przeto do takich dokumentów.

Przed laty pięćdziesięciu mieszkańcy osady Końskowola w Lubelskiem, aby się pozbyć żydów, zerwali z niemi wszelkie stosunki handlowe i pieniężne. I o dziwo, nietylko nie zginęli, lecz przeciwnie, dobrze na tem wyszli. W tym roku obserwujemy podobne historyczne zjawisko w Przytyku, które będzie miało wtedy istotne znaczenie, jeżeli obejmie cały kraj.

Zdobycie bowiem ziemi polskiej przez żydów, to utrata naszej niepodległości.

Żaden Polak nie powinien zapominać słów przysięgi żydowskiej, jaka wygłoszona przy trumnie rabina Majera Szapira w Lublinie w r. 1933 obiegła cały świat: „...jeśliby nawet chleba i wody nam zabrakło, n a s t u n i e z a b r a k n i e!"

MICHAŁ WIŚNIEWSKI

WYSPIAŃSKI I WRÓBEL

I

DZIWNE zestawienie... Dwaj wielcy twórcy, którzy się zupełnie nie znali; nigdy nie widzieli, rozdzieleni setkami mil, choć wiekiem życia sobie blizcy.

Wróbel dzieł Wyspiańskiego nie widział, być może nawet nazwiska jego nie słyszał. Wyspiański mógł widzieć reprodukcję dzieł Wróbla choćby w numerze „Świata Sztuki” *(„Mir Iskusstwa”)*, a w każdym razie o nich słyszeć, gdyż czasu jego docentury w Akademij Sztuk Pięknych w Krakowie młodzi jej i jego uczniowie, szczególniej przybyli spod zaboru rosyjskiego, dość żywo o tych dziełach rozprawiali. Nie słyszałem jednak z ust naszego twórcy żadnej wzmianki o malarzu rosyjskim, ani też wiem czy zostały w pismach wieszcza jakieś ślady, możliwego zapoznania się, lub zainteresowania samotnym duchem z bezbrzeżnych obszarów Wschodu.

W każdym razie o wzajemnych wpływach nie może być tu mowy.

Odrębni, a jednak podobni.

Jeden do głębi duszy Polak i syn Zachodu, związany z jego kulturą wszystkiemi węzłami swej twórczości. Piastował go Kraków i Paryż, gotyckie dumy średniowiecza, a żywił go romantyzm polski i polski lud. I miał też żywego mistrza swego, ten niedrodny uczeń matejkowskiego genjuszu.

Drugi, choć z cząstką dziedzictwa polskiego, dziecię Wschodu, zatracone w wielkich obszarach jego bezbrzeży, zaledwie przelotnie znający Wenecję a więc najbardziej wschodnie miasto Italji, nieodrodny syn Rosji, wyraziciel najszlachetniejszych strun jej duszy, wykarmiony bezkresnemi przestrzeniami lasu i stepu. Ten talent ogromny, bez poprzedników i potomków, mógł się tylko chyba zapatrzeć w Rembrandta i tą drogą nawiązać węzły z Zachodem.

Obydwaj — to indywidualności potężne, nowatorskie, samotne w swoim środowisku, choć jeden był wspaniałem ogniwem w wielkim łańcuchu twórczości, chlubny gronem następców, drugi bezrodzicielski i bezpotomny, niezrozumiany od swoich, nieznany u obcych.

Obaj nękani tą samą straszną, chorobą, zgaśli przedwcześnie. Jeden, niemocą ciała zwalony, w pełni jasności sił twórczych ducha skonał, jak wichrem zdmuchnięta pochodnia; drugi pogrążył się w obłędzie, wypuszczając z rąk twórczy pendzel i powoli gasnąc, umierał.

Wyspiański przeleciał jak błyskawica i grom, wstrząsając duszą narodu. Wróbel był raczej światłem cichej zorzy północnej, mieniącej się w tęsknem bogactwie barw.

A jednak zestawić można i zestawić należy tych dwu tragików, synów dwu bratnich narodów rozdzielonych głęboką przepaścią dwu odmiennych kultur.

— — — — — — — — — — — — —

Jak u Wyspiańskiego, tak i u Wróbla, atmo, sfera lat dziecinnych i młodzieńczych, przyroda-otoczenie, środowisko były decydujące dla przyszłej twórczości, dla porywów ducha i wizyj plastycznych, dla form i barw, a nadewszystko dla ogólnego tonu dzieł ich duchowego zestroju. Tylko, że duch katolickiej kultury z czarem dziejowym Krakowa, z tem do najwyższego napięcia doprowadzonem poczuciem narodu, był o wiele potężniejszy od tchnienia stepu i rozlewności nieskrystalizowanej, nomadycznej duszy rosyjskiej.

Michał Wróbel urodził się r. 1856, jeżeli nie w centrum Eurazyj, to w każdym razie w centrum wielkiego imperjum rosyjskiego w Omsku, jako syn Polaka, oficera w służbie rosyjskiej i matki Rosjanki, ale mającej w sobie po dziadku krew duńską.

Głąb lądu, pogranicze lasu i stepu było jego kolebką, a rzeka olbrzymia jednego z największych zlewisk świata syciła wrażenia dziecięcia.

Na południe ciągnęło się trawiaste morze siedzib kirgizkich koczowników, aż po Turkestan i Persję przechodząc stopniowo w „step głodny” (Bek-pak-dała) i piaszczyste kurhany pustyni. Na północy dolatywał poszum tajgi, dziewiczych lasów Sybiru, sięgających aż do przemarzłej tundry, którą smętnie zdobią karłowata brzoza i wierzba. Szedł wiew od stepu i od borów i od zapadłych bagien Wosinganu największych trzęsawisk Eurazji. Cicha, a nieubłagana walka stepu z tajgą żywiła wyobraźnię dziecinną Wróbla, otaczało zespolenie rosyjskiej, ugro-fińskiej leśnej północy ze stepowym mongolskim wschodem.

Północ i południe, las i step, wycisnęły swe niezatarte znamię na twórczości Wróbla. Nieco Zachodu może ze krwi w atawistycznej tęsknocie i dużo Wschodu — prawie sam Wschód.

Koczował też po tych lądowych obszarach przez cały dziecinny i młodzieńczy wiek. Ujście Wołgi, dawna stolica Złotej Hordy, Astrachań, Samara, Petersburg i ku granicom ojczyzny przedków swoich, Odessa, Kijów i ponownie północna stolica carów, oto szlaki wędrówek z przenoszoną ciągle rodziną.

Do Akademji Sztuk Pięknych w Petersburgu wstąpił stosunkowo późno, znacznie później od Wyspiańskiego, bo po ukończeniu uniwersytetu w dwudziestym piątym roku życia. Ale już po czterech latach studjów został polecony do pracy na wielką skalę dojrzałego artysty, odnowienia starej polichromji i tworzenia nowej cerkwi św. Cyryla w Kijowie.

Dotknął ziemi polskiej — ziemi dziadów swoich i to w miejscu, w którem zbiega się kultura zachodu, katolicka, rdzennie polska, z kulturą wschodu, z wpływami Bizancjum. Miał malować, tworzyć podług planu narzuconego właśnie w stylu bizantyńskim, a więc w duchu kultury matki swojej.

Przez duszę jego przebiegł jednak prąd ziemi ojczystej — siła atawizmu przemówiła. Wróbel w tym okresie swej twórczości nie dał się ujarzmić bizantynizmowi. Tem bardziej jest to zdumiewające, że prowadził walkę na dwa fronty, z jednej strony pokazywał, łamał i naginał do swego twórczego natchnienia, wyniesiony ze szkoły z Petersburga akademizm, z drugiej przetwarzał narzucony sobie wolą kierownika prac prof. Prachowa bizantynizm. Z tej walki wyszły dzieła, a przedewszystkiem szkice do nich o zapowiedzi monumentalnej, zbliżającej Wróbla do Grottgera

w szczeœliwych warunkach rozporządzalności obszernych ścian budowli cerkiewnych.

Niektórzy krytycy (np. Grabor) uważają, że Wróbel w tym kijowskim pięcioleniu dosięgnął najwyższego szczytu swej twórczości (1884—1889), który później już nigdy nie był dla niego dostępnym. Istotnie w tym okresie najbliższym był duchowi polskiemu — i owiało go krótkie tchnienie monumentalizmu, do którego azjatycki wschód, mimo upodobania, do kolosalności nigdy nie miał uzdolnienia.

To natchnienie Wróbla zostało jednak złamane, najlepsze jego wizje plastyczne, nie te które wymalował w cerkwi św. Cyryla, lecz te które przeznaczył dla soboru św. Włodzimierza nie zostały wykonane. Dla rosyjskiego otoczenia i osądu były one niepojęte, więc te siedem kompozycji a wśród nich potężne „Nadgrobny płacz" i „Zmartwychwstanie" pozostały w szkicach, jak w kartonach pozostały Wyspiańskiego królewskie witraże.

Wyspiański (ur. 1869) techniczne warunki i warunki materjalne miał cięższe, kiedy w dziesięć lat później walczył o realizację swych dekoracyjnych wizji, duchowo jednak miał o tyle lepsze, że nie potrzebował borykać się ze swemi nałogami szkolnemi, że wyszedł z Akademji, która „akademją" nie była, której mistrz mimo całego ogromu swej indywidualności nie łamał samodzielności swych uczni, lecz ją podnosił i umacniał. A nadewszystko Wyspiański wewnętrznie pozostawał w zgodzie z duchem swego narodu. Wyspiański był dzieckiem jednego narodu, o skoncentrowanej kulturze katolickiej zachodu i pod tym względem w duszy swojej nie mógł mieć żadnego rozdźwięku. Mimo rozdźwięku z otoczeniem czyn jego był zdecydowany i wyraźny, twórczość tragiczna, ale w swej potędze jednolita, bez wahań z zadziwiającą konsekwencją się rozwijająca. Tragizm Wyspiańskiego wynikał z tragizmu epoki i narodu, tragizm Wróbla, był tragizmem dwoistości kulturalnej, kultur sprzecznych.

Jak jego potężni aniołowie z cerkwi św. Cyryla bolesna rozpacz, niema i głucha, aż zakamieniała Bogarodzicy nad zwłokami Jej i Bożego Syna i niemniej, nie tryumfalne, lecz raczej tragiczne Zmartwychwstanie, było tęsknotą za tem co zostało utracone, czego nawet nie znał, co może przeczuwał. Ten twórca, który w głębinach miał jednak coś polskiego, nagle okazał się bez ojczyzny, w okresie dziejów, kiedy wszystko kipiało warem koncentrujących się narodowości. Może miał w sobie upragnienie zachodu.

Z zachodem klasycznego renesansu właśnie w tym czasie się zetknął. Urządził krótką wycieczkę, do Wenecji — zresztą najbardziej wschodniego miasta Italji. Była to jego jedyna wycieczka na zachód, z której zresztą wyniósł nie tyle wpływy wielkich mistrzów odrodzenia ile mozajk i prześwietlonej rozety św. Marka.

Rzecz dziwna: królowa Adrjatyku nie starła lecz raczej umocniła w nim wpływy wschodu. Odtąd oddał się im całkowicie, niepodzielnie, zostawiając tylko w rozszerzonych źrenicach, roztęsknionych ócz, krótki błysk wizji ojczystego zachodu. W roku 1889 przeniósł się do Moskwy — i Moskwa pochłonęła go, wessała zupełnie. Niektórzy twierdzą, że nawet go wyjaśniła. Nie, nie słusznie! Przekształciła go, owiewając ostatecznie tchnieniem bezbrzeży rosyjskiego stepu i lasu, tajemnicy rozlewnej nie skrystalizowanej duszy rosyjskiej, nie tknąwszy zresztą jego potężnego talentu plastycznego. Wizjoner nadal snuł swoje wizje, przybrane w inne formy, te jakie dawał mu wschód. Dusza nie posiadała już wszechmocnego ideału, określonego i zdecydowanego, jaki w żarliwej miłości ojczyzny posiadała dusza Wyspiańskiego. A jednak źle mówię! Ideał taki był, jeno ideał osobliwego rodzaju iście rosyjski; negatywnyj. Był to duch buntu i przeczenia, ponury „duch wygnania" — Demon.

Demon opętał jego myśl, uczucie, pragnienie.

Tworząc liczne dzieła, nieraz znakomite, przez lat jednak piętnaście, nieustannie pracował nad „Demonem", — szkicując, przerabiając, przetwarzając w coraz to nowej kompozycji i nowem ujęciu. Obrazy „Demona" krążyły przed jego oczyma, wsysały się w serce i myśl,—aż tak owładnęła nim ta postać, ten duch, że już nie mógł przestać pracować nad nim, aż do końca, aż do wrót obłędu.

Kiedy już wykończone wystawił dzieło, jeszcze przed nadejściem publiczności codziennie wkradał się rankami z paletą, pędzlami i farbami, – jeszcze poprawiał i przemalowywał. Jest coś tragicznego i niesamowitego w tem zmaganiu się z własnem dziełem, z „Demonem", zmaganiu się zakończonem obłąkaniem.

A jednak dzieło, które zostawił jest potężne.

Na grzbietach Kaukazu pod rozświetlonemi szczytami legł Lucifer, piękny, strącony anioł buntu pod nim się roztoczył przepyszny kobierzec jego własnych skrzydeł — powódź pawich piór. I on właśnie, ze swoją barwną pychą ze swoim dziwnie mocnym wyrazem uporu, głuchej negacji i nienawiści; piękny z natury, a zniekształcony w pięknie swoim, wypełnia cały obraz, — tak iż wszystko przy nim maleje,—nawet owe zaróżowione, rozbłysłe lodowce poszarpanych turni. Zamarłe w oddechu piersi—nastawienie głowy—załamanie ramienia, a nadewszystko ten profil grecko-skandynawski i to spojrzenie—składają się na jedną całość o suggestywnej mocy.

Sam obraz jest nowatorstwem i buntem, — artysta połamał wszystko tak jak umieją tylko i mogą łamać najwięksi artyści-rysownicy, jak łamał prawa anatomji Buanaroti, albo Podkowiński w swoim „Szale".

Kiedy ujrzałem poraz pierwszy ten obraz jako osiemnastoletni młodzieniec, wstrząsnął mnie dreszczem i pochłonął, — tak, jak i pochłania dziś kiedy wpatruję się w jego barwną reprodukcję.

Miewa niesamowite uderzenia Wyspiański, jak w swoich królewskich witrażach, w tych trumiennych truchłach, albo w kilku miejscach „Wesela", „Wyzwolenia" lub „Bolesława Śmiałego" — ale Wyspiański porywa, wprawia całą istotę psychiczną w ruch. Wróbel zdrętwia i zamraża. — Jakby zakuwał w kajdany i głazami granitu przywalał. Rzec można, tu w tym ogromie, braknie tchu. Tamto tragedja wstrząsająca — to tragedja miażdżąca.

U Wyspiańskiego nawet w najboleśniejszej, najtragiczniejszej chwili niema beznadziejności, nawet gdy oślepły Konrad miota się po scenie raz poraz w sercu błyska światło.

(Dok. n.) LUDOMIR SZRENIAWA-CZERNIEWSKI

NA WIDOWNI

Widma i symbole. — Dwie głowy. — Zgroza i elegja.— Moja podróż w czasy minione. — Rapperswil jest w Warszawie. — Tęsknoty i rzeczywistość. — Czy Bóg przebaczy?

SĄ ROZMYŚLANIA, którym pióro nie chce iść na posługi, ale tak natrętne, że opędzić się od nich nie można. Posłużę się wycinkiem z „Warsz. Dziennika Narodowego“ (nr 187), bo obraz tu wyczytany utkwił mi tak głęboko w mózgu:

„Cała Polska pamięta dokładnie ową wiadomość PAT., że ś. p. Wawrzyniec Sielski, człowiek już nie młody, ziemianin, były sędzia, były poseł do sejmu, wybitny organizator oświaty polskiej przed wojną, działacz na polu podniesienia kultury rolniczej (sadownictwo, pszczelarstwo, przetwórczy przemysł owocowy), opiekun ludu wiejskiego, organizator lokalnych władz polskich w chwili zakończenia wojny i wybitny działacz samorządowy (sejmikowy) po wojnie, wreszcie publicysta i literat, popełnił samobójstwo w chwili przeprowadzania w jego dworze rewizji przez organa policyjne.

„Cała Polska pamiąta również późniejsze sprostowanie urzędowe, w którem stwierdzono, że ś. p. Sielski nie zabił się, ale został zabity. Pamięta również — niezawarte w komunikatach urzędowej agencji, ale pewne — wieści, że ś. p. Sielski zabity był w obecności córki i nieletniego syna, że zarówno syn i córka, jak i świadkowie śmierci ś. p. Sielskiego zostali natychmiast potem aresztowani i osadzeni w więzieniu w Kaliszu, gdzie spędzili czas dłuższy, choć nie wytoczono im później żadnego procesu, że wreszcie po odzyskaniu wolności nie mogli oni powrócić wprost do rodzinnego dworu, gdyż był on w stanie nienadającym się do zamieszkania”.

„Proces nie zawiódł oczekiwań. Wyświetlił on tragedję wyszyńską do gruntu. Wiemy już o wypadkach wyszyńskich—wszystko”.

Niepowtarzam drastycznych szczegółów, wystarczy fakt z datą 1936 r., ujawniony w procesie politycznym.

— — — — — — — — — — — — — —

Głowa Sielskiego prześladuje mnie. Ten widok mnie pali, on mnie przeraża. Przeraża mnie brak solidarności rodaków z tymi, co dobrze czynią dla narodu, i krwawy na tem tle konflikt. Przeraża mnie nienawiść...

Przypominam sobie, gdzie przedtem widziałem taką głowę. Widziałem ją w bibljotece Rapperswilskiej. Stoi ta głowa teraz wśród tych samych zbiorów w Bibljotece Wojskowej w Warszawie opodal gmachu Generalnego Inspektoratu Armji. Jest to rzeźba Teofila Lenartowicza. Poznałem tę głowę przed laty, jeszcze w Szwajcarji, widywałem ją codzień przez lat parę, gdyśmy z Żeromskim w tej bibljotece pracowali. Stanowiła centralny punkt martyrologicznej symboliki, której muzeum emigracyjne było pełne.

Pamiętam, jak silne wrażenie zrobiły na mnie te zbiory, gdym w początku r. 1892 w zamku Rapperswilskim (obok tej sali z głową Lenartowicza) w pokoiku pod wieżą zamieszkał. Mam na to dokument. Oto latem tego roku wysłałem stąd do kraju obszerną korespondencję. Drukował ją ówczesny „Dziennik Poznański” (nr 167 i 168), przedrukował „Kurjer Lwowski”. Nie chciałem wskazywać na siebie, jako na autora, przebywałem bowiem w Rapperswilu *incognito*. Były to więc listy turysty, podpisane przez „Jotę”, adresowane do przyjaciela.

Przytoczę niektóre ustępy tego listu jako charakterystyczne dla umysłowości młodzieńca, który przed 44 laty pierwszy raz wyjechał z Warszawy za granicę. Tonacja oczywiście romantyczna.

Pisałem wtedy:

„Siedząc skurczeni, z zapartym tchem w Warszawie, zatraciliśmy poczucie przestrzeni pełnej słońca, swobody myśli i ruchów. Ja sam, kiedy kordon przebywałem, czułem się niemal występnym, że mi za chwilę mniej bać się będzie wolno. Jest to pewnego rodzaju odrętwienie pleców, bardzo naturalne, gdy człowiek od dzieciństwa przywykł czekać z przymrużonymi oczyma na uderzenie bata.

Widziałeś kiedy kurę, gdy ją do podłogi przypłaszczą, a naokoło niej krąg kredą zatoczą? Kura poddaje się nakazowi, lecz później sam krąg tak ją hipnotyzuje, że poruszyć się nie może, a gdy przestąpi wreszcie koło, zatacza się, jak senna. To nasz stan, gdy przestępujemy granicę.

Potrochu plecy się rozkurczają i coraz śmielej spogląda człowiek w oczy wolności. Tu w Szwajcarji ta nieznana nam swoboda — to żywioł taki dobry i prosty, jak powietrze lub niebieskie wody jezior i tak harmonizujący z niemi jak z rodzeństwem z jednej matki-przyrody. Tu czuję, jak nieszczęśliwy jest człowiek, w którym zabito poczucie swobody. Widzę po sobie, że nam z braku należytego pojmowania jej leczyć się trzeba, jak z choroby chronicznej.

Myślę, że my z poczuciem wolności mamy to samo. Nie jest to zresztą analogja tylko — jest to pokrewieństwo objawów, mających podobne przyczyny.

Stało mi się to jasnem, kiedy stanąłem na ziemi szwajcarskiej. Wolność kieruje tutaj rozwojem, jak słońce roślinami, a ludzie nie bronią się jej tchnieniu, ani śladu gwałtu uczuć. Mają zmysł uczuwania słońca; w świeczkach, stawianych bogom prywatnym, skrzydeł nie kopcą, to jedyne ich bóstwo—ta niezależność narodu i mas.

...Nazajutrz z Zurychu popłynąłem na statku „Concordia” do Rapperswilu. Czerwcowe słońce, chylac się ku zachodowi, cudów dokonywało na zielonem jeziorze i pobliskich górach, po których wśród lasów i winnic, jak plusz miękich, zdawały się zstępować ku wodzie białe domki, z zielonemi żaluzjami. Na pokładzie od ludzi było rojno. Z przystanków przybywali nowi, przeważnie chłopi, w czarnych, świątecznych ubraniach, zaganiając przed sobą dziatwę. Dziewczynki miały na głowach białe wianki i skupienie jakieś widać było na ich ogorzałych twarzyczkach. Po pogodnych obliczach poznaję wszędzie chłopów-rolników; w ich oczach i rysach twarzy jest coś z czystości słońca i prostoty ziemi. Jak mnie objaśniono, ciągnęli oni do Rapperswilu, gdzie bawił czasowo biskup z St. Gallen dla bierzmowania.

Dziewczęta z minami bohaterek dnia, zapłonione siedziały ze spuszczonymi oczyma rzędem pod barjerą. Niebawem, nie wiem z czyjej pobudki, poczęły śpiewać chórem. Choć drżąca w słabych ustach i cicha wobec łoskotu kół parowca, miała dużo powabu ta pieśń modlitewna. Odczuli to pewno starsi, bo ktoś, jak stał w dal wpatrzony, pochwycił nutę i porwał nią całe otoczenie.

Śpiew zapanował nad pokładem bez jego wiedzy, jak wiatr porywa sosny w lesie; lud, co stał na przystani, połączył się z nimi w śpiewie, a oni ich zdaje się, nie widzieli i popłynęli dalej, śpiewając. Tak śpiewają wolni do jasnego słońca, pełną piersią czcąc je za życie, które ich nie kaleczy kajdanami [1]).

Jam nie śpiewał i słów nie rozumiał, lecz w duchu podkładałem pod melodję strofy Kasprowicza:

Wszyscy dłoń wznosim do krańców
Złotych promieni,
Wszyscy dłoń wznosim do krańców
Błękitu,
Lecz zgniótł nas żywot skazańców,
Ach, zgniótł nas żywot skazańców
Bez bytu!

Pieśń ta brzmi mi dotąd w uszach. Piszę te słowa w hotelu w Rapperswilu. Z okna widzę księżyc, zawieszony u bezgwiaździstego sklepienia jak wielka lampa elektryczna. Dokoła śpi miasto nad śpiącem, zmatowiałem w blasku księżyca jeziorem, a za niem stojąc śpią góry. Połamane ich szczyty odrzynają się na jasnem niebie, niżej żadnych konturów — ciemne ciała pod zasłoną rozświetlonego martwym blaskiem przestworza. Księżyc rzucił ku mnie od gór most świetlany przez jezioro, jakby srebra nalał na stalową wodę. Cisza, pokryta rechotaniem żab, tak mocno przypominających nasze noce letnie w kraju.

Ktoś jeszcze nie śpi, bo niespodzianie odezwał się fortepian szopenowską melodją. Jakiś smutek dostroił go do nocnej muzyki jeziora. Z nadbrzeża znowu głos młody słychać — śpiewa ktoś jodjując (*iodeln*) miejscowym zwyczajem — zdaje się—płaczem się zanosi.

Z drugiego okna mego pokoju widzę wznoszące się na górze wieże starego zamku. Myśl o tem, że jestem tak blisko polskiego muzeum, zasnąć mi nie daje. Więc tutaj wypłoszone z kraju ptaki, burzami po świecie rozegnane, wzniosły świątynię wspomnień narodowych!

Z prochów ziemi ojczystej, z strzępów zwycięskich sztandarów usłali gniazdo pamiątkowe po Orle Białym, który od stu lat czeka pod gwiazdami zniebozstąpienia. Chłop stawia koło dla bociana we własnej zagrodzie, bo wie, że je sąsiad uszanuje; naszemu ptakowi śmierć zaprzysiężona, wspomnienia po nim z piersi nam wydrzeć usiłują; z niemi w góry obce, zdala od oka myśliwych!

Wiek cały sieroctwa i walki o życie—jakie to ciężkie słowo, aż dziw, że je dziecko tego wieku zdolne jest wymówić!

A ten księżyc, który tak się wrywa w myśl moją, zawsze był ten sam. Obojętny dla żyjących, świeci martwej przyrodzie. W postaw jego promieni, które się łez w ludzkich oczach czepiają, snuje człowiek westchnienia i bierze go na świadka swych uczuć. Na jego kulę tylu ludzi patrzało i patrzy z tęsknotą; on dla wszystkich ma te same promienie.

To srebrne światło, które w zimnej wodzie ku mnie skierował, bieży do każdego, kto nad wodą stoi. Co człowiek przy niem wymarzy, wyegzaltuje—wszystko to zaciera rzeczywistość. Ona nic nie ma z blasków księżyca — tak jak on znowu niema nic z życia. Jest piękny jak zapowiedź ciszy w grobie.

Gdyby była pewność, że z rana nie zaświta słońce, światło księżyca do rozpaczyby doprowadziło. A jednak na myśl, że słońce zbudzi nas tylko do walki, jak wczoraj i przez wiek cały, chciałoby się krzyczeć: „Stój, ziemio, nie pozwalaj słońcu ściągać cieniów nocnych — pozwól ludziom spać, a mnie trwać bez ruchu!"

— — — — — — — — — — — —

Ustronie to — pisałem dalej—było najcenniejszym punktem mojej podróży. Zdaje mi się, że odrodziłem się tam, nabrałem poznania prawd prostych, które się nie objawiają łatwo w zwykłych warunkach. Na wolnej ziemi kąt patrzenia na sprawy rozwiera się szerzej i pozwala je objąć od gruntu. Czuję, że opuszcza mnie choroba hamowania uczuć i wątpienia. Jestem pokrzepiony jakąś dumą czystą, mam odwagę i chcę żyć, pragnę słońca.

Poranek był piękny, pełen świeżości, gdym podchodził do zamkowego podwórca, z którego wejście prowadzi do muzeum. Sam ten podwórzec wart jest podróży. Czworokątny, otoczony ścianami zamku i wież, tonie w zieloności roślin. Kaskady winnych splotów spadają od dachu po krużganku i łączą się z zielenią bzów i akacyj. W pośrodku podwórca, pełnego świergotu ptactwa wznosi się koryncka kolumna, ocieniona skrzydłami orła.

Mimowoli odsłaniasz głowę i skłaniasz ją. To ten orzeł, co

„...gdy spocząwszy na ziemi,
Strzepnął skrzydły dorosłemi,
Dwa wielkie morza plusnęły pod niemi.

Napis na pomniku dopełnia wrażenia:

„Niespożyty duch polski, stuletnią krwawą walką protestujący przeciw ciemiężącej go przemocy, z wolnej ziemi Helwetów przemawia do sprawiedliwości Boga i świata".

By cię zapoznać z historją tego pomnika, powiem, com później wyczytał w opisie uroczystości jego odsłonięcia w r. 1868. Zebrały się na to święto tłumy osób ze wszystkich krajów i z Polski. Pomnik stał wtedy na tarasie, zewnątrz zamku i panował nad jeziorem. Między innymi przemawiał wtedy Kornel Ujejski (po francusku):

„Stuletnia rocznica walki narodowej sprowadziła nas, sieroty ludzkości, na wolną i szczęśliwą ziemię Helwetów, byśmy założyli protest przeciw wrogom naszym; w tej chwili uroczystej duch Polski jest z nami. Protestujemy w imię żyjących i poległych, w imię dzieci w kołyskach i grobów braci, w imię wszystkich, co cierpią — i tych co wierzą, i tych co zwątpili! Łzy nasze i krew, za swobodę wylane, zajęłyby przestrzeń tak wielką, jak ta woda przed nami; z mogił braci, w walce poległych, moglibyśmy wznieść górę tak wysoką, jak nie jedna w łańcuchu Alp. Nasze męczeństwo wystarczy do odkupienia świata całego"...

Słowa powyższe zastosować można do całego muzeum, założonego pod wezwaniem tego orła białego i stanowiącego jakby żywą księgę objaś-

---

[1]) Motyw ten znalazł się potem w jednej z nowel St. Żeromskiego.

niającą dla pomnika. W księdze tej nie każda karta jest smutna, lecz każda poucza, a niejedna na pobudzoną wyobraźnię działa wstrząsająco. Nie będę opisywał szczegółów, bo po nie przyjechać trzeba samemu i zbierać; chciałbym jedynie ogólne zanotować wrażenie.

W jednej z sal poeta-rzeźbiarz Lenartowicz postawił głowę konającego Polaka. Z jego ust wpółotwartych czyta zwiedzający, ktokolwiek on jest, tak wyraźnie jakby głos jego słyszał: „*Ave, patria, morituri te salutant!*"

Jest to właśnie ta moc męczeństwa o której mówił Ujejski, ta siła narodu, co z poległymi nie idzie do grobu.

Kiedy wyrwawszy się z codziennego otoczenia, zbliżyłem się do pamiątek przeszłości, tych śladów, zatartych u nas starannie, zdawało mi się, że przebywając tę przestrzeń z kraju, żeby to wszystko zobaczyć, przebyłem jednocześnie kawał czasu w górę jego biegu i stanąłem oko w oko z Polską żywą.

Niby z letargu lub gorączki zbudzony, spostrzegłem przed sobą bohaterów, których nazwiska, jak ze snu lub z mytu, znałem; i parła mnie do nich cześć i ciekawość, którą można drżącemi usty wyrazić w pytaniu:

— Wy mi prawdę powiedzcie: jak to było? jak się to stało?...

I dochodzi się z nimi do porozumienia. Z ich mogiły widać drogi w narodzie, które oni, tak niedawno — zdawało się — wczoraj, porzucili. Z rzeczy, które, konając, z rąk wypuścili, występują ich postacie tak prawdziwe, że słyszy się bicie ich wielkich serc.

W sali Kościuszki, pełnej jego wizerunków, scen jego czynów w obrazach, przedmiotów przez niego samego wyrobionych, świadczących o jego domowych upodobaniach — w sali tej dość długo nasiedzieć się nie można, w towarzystwie cieniów tego bohatera obu półkuli świata.

Gdy wreszcie wychodzisz z pomiędzy tych pamiątek, czujesz, że ta przykra pustynia za tobą zapełnia się życiem minionem. Nić łączności nawiązana; nowe pokolenie odziedziczy ją po tobie wprost".

— — — — — — — — — — — — —

Taki był nastrój przed 44 laty.

Głowa męczennika, rzeźbiona przez Teofila Lenartowicza, jest symbolem bohaterskiej walki narodu z obcym najeźdźcą. Uczucie, jakie ona budzi, nie upokarza Polaka, owszem wbija go w dumę, porywa duszę swoim patosem, jako symbol ofiarnie spełnionej misji dziejowej. Dalekie to od hańby, gdy walczą na śmierć i życie wrogowie, pełniący każdy dla swego narodu jakieś zadanie. Mickiewicz, z którym Lenartowicz współpracował jako poeta nad wydobyciem myśli z dziejów swej epoki, wyraził nawet ustami ks. Piotra przekonanie, że „najsroższemu z siepaczy", który „krew niewinną z narodu wytoczył", Pan Bóg przebaczy.

To też tamta głowa nie grozę budzi, nastraja raczej elegijnie. Głowa Sielskiego przeraża.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

JEST TAKIE PISEMKO „WOLNOMYŚLICIEL". Dziwne pisemko. Nibyto ma służyć idei postępu i oświecenia, a jest narzędziem wojującego obskurantyzmu i zacofania. Poziom ma lichy, że aż dyskutować z nim nie sposób, a grupuje wokół siebie publicystów co to z racji swego formalnego wykształcenia winni — zdawałoby się — dawać wiele, w każdym razie — cośkolwiek. Na czele urzędnik M. S. Z. słynny już Teofil Jaśkiewicz.

Otóż w tych dniach zamknął oczy na zawsze jeden z filarów wyżej przytoczonego perjodyku żyd Jakób Jabłoński. Nie chcąc, jako bezwyznaniowiec (przyznajemy, że konsekwentnie) być pochowanym na żadnym z cmentarzy należących do określonych wyznań (co prawda nie miał wyboru— mógł spocząć przecież tylko na jednym) zapisał swe ciało Instytutowi Anatomicznemu U. W. Również konsekwentnie: do końca, a raczej od kresu życia służyć idei rozumu.

Na pogrzebie przemawiali towarzysze: ów Jaśkiewicz, T. Arciszewski, Rache i Leo Belmont. Wszystko w porządku. Na przedzie tego oryginalnege konduku szły organizacje P. P. S. ze sztandarami oraz członkowie Klubu Kobiet Pracujących. Jeszcze dotychczas wszystko w porzadku. Pozatem ... i tu musimy już głową pokręcić — czerwoni harcerze z wiązankami kwiecia. Wreszcie — słuchajcie! — „...dźwiękami czerwonego sztandaru i podniesieniem w górę pięści żegnano znikające we wrotach Instytutu zwłoki..."

I w tej to chwili mieliśmy jaskrawy w swej wymowie obrazek. Znowu wszystko w porządku, jeśli sobie gromada starych, przytępiałych w atmosferze marksowskiego talmudu osobników podniosła w górę pięści. Ale jest coś przerażającego w tem zmuszaniu dzieciaków uformowanych w zastępy „czerwonego harcerstwa" do zaciskania małych, słabych piąstek. Już od pierwszych dni życia kształtuje się dusze w niebudującem uczuciu zawiści i nienawiści, w obłędnej pasji niszczenia. W starożytnej Sparcie kalekie maleństwa zrucano ze skały torpejskiej, dzisiaj niektóre ścieżki światowego rozwoju poczęły dochodzić do metody świadomego wykoszlawienia zdrowych organizmów.

Jakiem prawem i w imię czego zasypuje się piaskiem „idei" walki klas oczy maleństw szukających przedewszystkiem słońca i szczęścia? Ponury pogrzeb tow. Dawida Jabłońskiego stał się w swoim wyrazie wielce wymowny.

Życie lubi przemawiać symbolami. Zaciśnięte pięści „frontu ludowego" i radośnie wzniesione dłonie nącjonaliztów to dwa światy. Wieczny konflikt nienawiści z miłością, wieczna walka zła z dobrem. Jak widać rozwiązujemy problemy wieczyste a szukamy jedynie współczesnej dla nich formy.

OSTATNI (12 — 13) NUMER DWUTYGODNIKA „BUNTU MŁODYCH" omawiając sprawę Adama Doboszyńskiego, pisze:

„Najazd na Myślenice musimy potępić wszyscy i żaden czytelnik Buntu nie zdziwi się tym naszym stanowiskiem, jak nikt nie zdziwił się, że w tymże dniu 25-go czerwca żądaliśmy sami jedni w polskiej prasie, sądów doraźnych na sprawców pogromów antyżydowskich jak i na prowokatorów żydowskich, Stanowisko nasze wobec pogro-

mów jest dla naszego programu bardzo zasadnicze. Pogromy są sprzeczne z etyką katolicką, sprowadzają anarchję i upadek autorytetu państwa odwracają energję nacjonalizmu od jego wielkich zadań dziejowych..„"

Nie będziemy dzisiaj dyskutowali na temat czy pogromy są sprzeczne z etyką katolicką. Zwrócimy uwagę na jedno — skwapliwe formułowanie przejawów walki z żydami w jaknajjaskrawszej formie. Gdy przejrzymy starcia lat ostatnich, spostrzeżemy, że więcej tam trupów polskich, aniżeli żydowskich. Wszak ostatnio w Przytyku mieliśmy do czynienia tylko z odwetem. Wyrok Sądu Rzeczpospolitej jest tu stwierdzeniem i źródłem do poznania prawdy jaknajlepszem. Sąd był objektywny. Taka jest i powinna być postawa każdego Sądu. „Bunt Młodych" i jego jego pisarze również starają się być objektywni. Gdy wszakże porównamy te dwa rodzaje objektywizmu, uderzy nas głęboka różnica. I pomyślmy, czy czasami w drugim wypadku nie mamy do czynienia z podświadomą może, ale istniejącą tendencją do kompromisu? Przychodzi na myśl artykuł p. Prószyńskiego właśnie o Przytyku umieszczony ostatnio w „Wiadomościach Literackich". Gdy podziwiano umiejętność przystosowania się utalentowanego niewątpliwie pisarza do atmosfery panującej w kramie jednej z bram IPSu, ktoś rzucił krótką, ale jakże słuszną i dosadną uwagę: „To nie kwestja umiejętności i talentu, ale charakteru".

„...Pogromy sprowadzają anarchję i upadek autorytetu państwa..." — Niewątpliwie „pogromy" (przyjmujemy na ten raz terminologję „Buntu" dla ułatwienia sobie dyskusji) nie są przejawem ładu, ale czy źródło ich nie leży wtem, że państwo nie może się zdobyć na rozwiązanie jednego z najważniejszych problemów życia polskiego? Odruchy ludności polskiej są więc czemś nietylko zrozumiałem, więcej — są czemś poprostu koniecznem. Organizm Sądu zwykle stara się zwalczyć chorobę i zwalcza ją. Nie może przecież czekać na środki opieszałego doktora. A doktór się nie śpieszy.

„...Pogromy odwracają energję nacjonalizmu od jego wielkich zadań dziejowych..." Przedewszystkiem pozwolimy sobie dać wyraz swemu zadowoleniu, iż młode pokolenia konserwatystów przyznaje wreszcie otwarcie, iż przed nacjonalizmem stoją wielkie zadania dziejowe. Przyznajemy — na walkę z żydostwem zużywamy wiele energji i zużywać ją będziemy musieli aż do momentu zadawalającego nasze stanowisko. Rozumiemy bowiem, iż nie rozwiążemy wielkich zadań dziejowych bezłpozbycia się od nas paromiljonowej rzeszy obcej nam i wrogiej pod każdym względem.

W samem stwierdzeniu skali („wielkie zadania") kryje się tajemnica drogi, którą w przyszłość iść musimy. Nie da satysfakcji pokoleniom następnym to pokolenie, które pójdzie na kompromis w kwestji żydowskiej, które dopuści do dalszego rozkładu narodu pojętego jako suma wartości moralnych. I dlatego nie ci będą na sumieniu mieli marnowanie energji, którzy jaknajszybciej chcieliby usunąć z życia naszego niemałą przeszkodę w budowie, ale ci, którzy niedoceniając w pełni problemu żydowskiego, lub niedając wiary w zdolność własnych sił, opóźniają chwilę koniecznej ostatecznej rozprawy.

Tak — rozwiązanie wielkich zadań dziejowych to nie tylko kwestja umiejętności i talentu, ale i charakteru. (B)

SEKTA TUGÓW

SĄ KSIĄŻKI, które w jakimkolwiek ukazałyby się kraju, stają się własnością całego świata przez zagadnienia, jakie poruszają. Często tem samem urastają do wielkich wydarzeń, a głos ich staje się głosem nakazującym posłuch ludzi wszystkich narodowości. Taką niewątpliwie książką jest Sleemana „Sekta Tugów", dająca obraz pełny grozy zorganizowanej zbrodniczości.

Jest ona krzykiem na trwogę, dzwonem bijącym rozgłośnie na alarm.

Jest to monografja o indyjskiej sekcie Tugów, monografja, rzucająca tak jaskrawe światło na zbrodnicze instynkty ludzkie, iż zamienia się w sprawę ogólno-ludzką, podstawową w walce bezustannej, jaka toczy się między siłą twórczą, a siłą niszczycielską w Wszechświecie.

Dlatego warto zapoznać się dokładnie z tą sektą.

Gdy Anglicy przybyli do Indji na początku ubiegłego stulecia, istniała ona od bardzo dawna. Trudno ustalić datę jej powstania. W każdym razie najmniej pięćset lat działali Tugowie w Indjach, terroryzując nieszczęśliwą ludność. Tugizm był sektą, mającą za podstawę zbrodnię, podniesioną do godności kultu, dającą przytem swoim wyznawcom duże korzyści materjalne. Boginią ich była Kali, żądająca ofiar ludzkich, grożąca wszelkiemi niepowodzeniami w życiu, swoim wiernym, o ileby jej nakazy nie były spełniane. Może tem należy tłumaczyć, iż Tugowie byli pozbawieni wszelkich skrupułów, iż odznaczali się niesłychaną bezwzględnością, brakiem zupełnym wyrzutów sumienia.

Do wypełnienia swych zamierzeń przygotowywali się jak do radosnego święta. Nie byli to bowiem zbrodniarze, żyjący ze swych ofiar. Nie, byli to ludzie, zajmujący naogół poważne stanowiska społeczne i wypełniający je sumiennie, często mający opinję czcigodnych obywateli, dobrych mężów i ojców rodziny. Zbrodni oddawali się z zamiłowaniem. Gdy nadchodził czas, w którym mieli rozpocząć mordowanie i grabienie swych współplemieńców, (obcokrajowcy byli wykluczeni) zbierali się wszyscy razem w miejscu, oznaczonem— uprzednio biorąc urlop z zajmowanych stanowisk—odprawiali nabożeństwo na cześć bogini Kali i zasięgali wróżby. Jeśli była pomyślna, wyruszali w drogę i biada wówczas każdemu podróżnikowi, którego spotkali na swej drodze. Celem ich nie była jednak zbrodnia pospolita—nie, chodziło najpierw o zbliżenie się do ofiar upatrzonych, uśpienie ich czujności, odegranie roli przyjaciół, aby całkowicie zdobyć zaufanie. Wszelkich więc sposobów podstępu, fałszu, gry wyrafinowanej używał Tug, aby opanować swą ofiarę. Stąd nazwa Tug, Thug, z sanskrytu sthag — słowo oznaczające skrywanie, udawanie. Dla osiągnięcia owych celów, Tugowie odbywali nieraz długie podróże ze spotkanym ludźmi, których postanowili zamordować.

Dopiero gdy zaufanie całkowicie zdobyli, nadchodzi moment odpowiedni: dusili swe ofiary przy pomocy pętli, narzuconej na szyję — inny bowiem sposób zabijania był wzbroniony. Potem zakopywali ciała do ziemi, nie sprawdzając nawet czy są martwe (zdarzały się wypadki, że człowiek, nie

całkowicie uduszony, im się wymykał) i dzielili się zagrabionym dobytkiem. Zbrodni tych dokonywali masowo, niejeden Tug miał na sumieniu przeszło tysiąc ofiar. Zresztą cyfrę trudno było ustalić wobec tego, iż radość, jaką sprawiało im mordowanie była tak wielka, iż przestawali liczyć, ilu ludzi padło ich ofiarą.

Anglicy rozpoczęli po przybyciu do Indyj energiczną akcję, celem wytępienia Tugów. Akcji tej podjął się kapitan Sleeman, człowiek stalowej woli i nieustraszonej odwagi, który z tugizmem walczył przez lat czterdzieści. (Książka o Tugach napisana jest przez jego wnuka). Zadanie jego łatwe nie było. Tugowie tworzyli zwarty związek, mieli świetną organizację, odznaczali się wielką solidarnością. Mówili między sobą językiem im tylko znanym — zobowiązani byli do najściślejszej tajemnicy. Dzięki wysokim stanowiskom, jakie zajmowali i wielkim bogactwom umieli opanować ludzi, którzy im byli potrzebni, policję również mieli na swych usługach.

Jednak po całem życiu zażartej walki Sleeman wyszedł z niej zwycięsko, a setki i tysiące Tugów zostało straconych. Sleemanowi bowiem udało się ująć kilku przywódców, a ci z zupełnym brakiem skrupułów względem swych towarzyszów, wydawali ich za obietnicę darowanego życia i sutego wynagrodzenia. Niezmiernie ponura jest historja Tugów i ich zbrodni. Zeznania jakie składali wobec Sleemana, bardzo monotonne w szczegółach, świadczą o zupełnym zaniku zmysłu etycznego. Przeciwnie nawet, — okazało się w toku badań, iż dla dobrego Tuga podstawą jego etyki była właśnie zbrodnia, do której dochodzi się przez podstęp, nikczemność, zdradę. Było to ich religją, wierzyli, że to religja wymaga od nich takich właśnie obrządków.

Spełniali je z radością, nieomal chlubiąc się czynami popełnionemi. W zeznaniach ich powtarzają się te same szczegóły: każdy z nich popełniał wielką ilość przestępstw, wykazując najzupełniejszy zanik uczuć ludzkich.

Historja Tugów porusza niezmiernie ważne zagadnienie ogólniejszej natury: zbrodniczości jako stałego czynnika w życiu społecznem, z którym liczyć się trzeba poważnie, a który dotąd zbyt mało brany był pod uwagę. Do zbrodni podchodzimy stale, jak do faktu zgoła wyjątkowego, nie mającego ciągłości w dziejach ludzkości. Tymczasem historja i nawet życie codzienne uczą czegoś wręcz przeciwnego. Weźmy przykład z tugizmu: ma on daleko szersze podstawy, niż to się może zdawać napozór. Powstał i rozwinął się, jak wiele innych sekt z zasadniczego zbrodniczego instynktu w naturze ludzkiej. Dlatego, choć sekta ta została wypleniona, jej istota nie przestała być groźna i przyjmować będzie tylko formy inne, nazwy inne.

Trudno rozsądzać — zbyt to rozległy temat — o przewadze pierwiastku zbrodniczego nad twórczym, czy odwrotnie. Niewątpliwie w każdym kraju w różnych epokach układ sił był różny i jedna dominowała nad drugą. Były jednak całe okresy, gdy zbrodniczość przeważała, górowała nad elementem twórczym, groźną chmurą zakrywała przed ludzkością i słońce życiodajne i jasne niebo, pogrążając ją w rozpaczy i beznadziejności. Mamy tego zbyt wyraźne wszędzie przykłady. Ale nawet w warunkach pozornie normalnych widzimy i czujemy czającą się wszędzie zbrodniczość. Opanować jej nie jest w stanie kodeks karny, rozsadza ona jego ciasne ramy, ogarniające wszystkie dziedziny życia. Dlatego czujność sił twórczych w narodzie winna być bardzo wielka, wnikliwa, reagująca żywo na każdy przejaw zbrodniczości, często głęboko ukrytej w społeczeństwach „cywilizowanych", a tembardziej groźnej. Naród, który chce żyć i rozwijać się normalnie, nie może zapominać ani na chwilę o instynkcie zbrodniczym, nie może uważać go za objaw patologiczny, który jako taki może przestać istnieć. Niewątpliwie wiadomości o sekcie Tugów przyczynią się do uświadomienia tej wielkiej prawdy, iż zbrodniczość jest siłą stale działającą, i że zawsze musi być brana w rachubę. Może jednak i musi być opanowana i ujarzmiona, ale stać się to może tylko przez nieustanny wysiłek twórczego ducha ludzkiego.

R. N.

NAUKA i LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Inicjatywa S. Godlewskiego wmurowania tablic pamiątkowych Wokulskiego i Rzeckiego (ob. nr. 23 „Myśli Narodowej") przyjęta została bardzo sympatycznie w szerokich kołach wielbicieli Bolesława Prusa. Właściciele domów, które Prus obrał na miejsce zamieszkania swych bohaterów, udzielili pozwolenia na wmurowanie tablic. Projekty tablic już są gotowe. Ostatnio w redakcji „Myśli Narodowej" na ten cel złożyli pp. Juljan Dunin zł. 20, Artur Gruszecki zł. 1, M. K. zł. 5, W. Ł. zł. 5, W. J. zł. 2.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Antoni Ferdynand Ossendowski. „Puszcze Polskie". Poznań, 1936. Wyd. Polskie R. Wegnera.

Książkę tę, poza niezwykle ozdobną szatą drukarską i ilustracyjną, zaleca bogata treść i doskonałe rozplanowanie przedmiotu.

Kartki zdobne w reprodukcje fotografij, przepięknych, jak gdyby dokonanych przez artystę-fotografa Bułhaka, opatrzone są trafnemi informacjami, względnie wersetami poematów. Przy nich reprodukcje obrazów ilustrujących życie puszcz, dziedzinę wegetacji roślinnej, wód, łowiectwa, rybactwa, przemysłu drzewnego, krajoznawczych motywów pracy ludu, typy ludowe, fragmenty dróg, wsi, miasteczek, kościoły, kapliczki, dzwonnice, chaty, pałace, dwory i dworki, młyny, wszystko celem ukazania okolic, szerszemu ogółowi nieznanych, a często poznaniu niedostępnych. Cennem, rzec można, odkryciem są przywołane z powrotem pamięci reprodukcje dzieł malarskich Juljusza Fałata, Józefa Chełmońskiego, M. F. Andriollego, Artura Grottgera, M. Gierymskiego, Jana Chełmińskiego, W. Piechowskiego, Chodowieckiego, Brodowskiego i innych. Ryciny dobyte z patrjarchalnych „Kłosów", niemal sielankowego „Przyjaciela Ludu", niegdyś narodowo redagowanego „Tygodnika Ilustrowanego", zbiorów państwowych Centr. Biura Zabytków Sztuki Ministerstwa W. R. i O. P., Zakładu Hist. Uniwersytetu im. Marszałka Piłsudskiego, z Gabinetu rycin Bibljoteki Uniwersyteckiej, bibljoteki publicznej Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu, ze zbiorów Pol. Tow. Turystycznego i ze zbiorów prywatnych.

Autor i Zarząd Wydawnictwa postarali się, aby w pełnym blasku przedstawić rolę puszczy w twórczej wyobraźni artystów.

Puszcze, jak pisze Ossendowski, były twierdzami obronnemi przeciw najazdowi od wschodu i północy. Były schroniskiem i bazą wypadową armji powstania listopadowego i oddziałów powstania styczniowego. A dawniej, przed laty, drewno puszcz miało decydujące znaczenie dla budownictwa w państwie i budownictwa okrętów, w drodze przez Gdańsk, we Flandrji, Anglji i Hiszpanji.

Natchnieniem do napisania tej książki był sentyment. O ile odtwarzaniu pustyń i puszcz Afryki i Azji w znanych w świecie utworach A. F. Ossendowskiego przywodził żywioł dzikiej przyrody, to opisy puszcz, Augustowskiej, Knyszyńskiej, Białowieskiej, Zielonej i Białej, tak jak i „Polesie" Ossendowskiego, wynikły z ukochania rodzimej ziemi. Dzieło

pracowite, badawcze, naświetlone uczuciem, o tym „skarbie nieprzebranym" jakim dla Polski są puszcze i lasy, tembardziej zaciekawi czytający ogół, że w ostatnich czasach o niszczycielskiej gospodarce Dyrekcji Lasów Państwowych coraz donośniej odzywają się głosy ostrzegawcze, niestety, w znacznej mierze, spóźnione. (A. W.)

MUZYKA

PRZED kilkunastu dniami odbył się w Warszawie zlot śpiewaków polskich uwieńczony wspólnem odśpiewaniem Hymnu Narodowego. Udział w uroczystościach związanych ze zlotem (m. in. odsłonięcie tablicy ku czci ś. p. Piotra Maszyńskiego), oraz w popisach i konkursach wzięło udział około stu chórów. Dodajmy, że Zjednoczenie Związków Śpiewaczych i Muzycznych liczy przeszło sto tysięcy członków. Liczba niemała.

Przypomina mi się mój „Głos z boku", który przed dwoma laty z okazji wielce pożytecznej ankiety kwartalnika „Muzyka Polska" zabrałem w dodatku literacko-artystycznym „ABC". Była mowa o muzyce dla mas. Wyraziłem wówczas pogląd, iż więcej — według mnie — zdziałać może i zdziałał dla kultury muzycznej Rosji śpiew cerkiewny, aniżeli wysiłki wszelkich kolektywów fabrycznych i rolnych Śpiew bowiem cerkiewny wciąga masy do współpracy, podczas gdy akcja uprzystepnienia sztuki dla mas prowadzona przez oficjalne czynniki Z.S.S.R. opiera się głównie na zasadzie nie twórczej, ale konsumpcyjnej — dostarczaniu słuchaczowi dobrej muzyki w formie audycyj. Niewątpliwie ma to swoje dobre strony, ale nie wyczerpuje całości zagadnienia, a więc i nie przynosi spodziewanych wyników. Mogliśmy się o tem przekonać i u nas na przykładzie radja. Większe w nim pokładano nadzieje, aniżeli osiągnięto wyniki. Poczęto nawet bić na alarm. Wskazywać, że sympatyczne, leniwe i ciągłe, bezustanne słuchanie płynącej z głośnika melodji doprowadzało w rezultacie do coraz większego pokrywania pyłem instrumentów muzycznych. Poco się silić na mozolną naukę gry na fortepianie, gdy dziesiątki fal aż się naprasza swoimi programami odtwarzanymi przez najlepszych wirtuozów? I poczęto cenić koślawe, niezdarne kroki tych, co to nie zarzucili instrumentu, ale próbowali sami, własnemi siłami pokosztować smaku sztuki. „Nadzieja na umuzykalnienie społeczeństwa przez radjo — pisał w odpowiedzi na ankietę Tadeusz Ochlewski — wydaje się dziś sprawą przegraną. Jest to tylko — jak słusznie było podziedziane — „pospolitowanie muzyki, lecz nie jej popularyzowanie". Naprawiając zło jakie wyrządza, winno radjo w większym stopniu niż dzisiaj, otoczyć opieką żywą muzykę"... „...Winno radjo otoczyć..." Otoczyło. Przypomnijmy sobie spór z Filharmonją.

Sprawa podawania masom dobrej muzyki w formie upowszechnienia audycyj przypomina zawiedzioną wiarę w działania reprodukcji, jeśli idzie o sztukę plastyczną. Jest tu coś pokrewnego, coś co musi skłonić do poddania rewizji niejednego z naszych dotychczasowych poglądów.

I dlatego cieszyć musi niezmiernie fakt istnienia stutysięcznej rzeszy poświęcającej chwilę czasu śpiewowi. Jedno zapytanie: czy w licznych tych kołach uprawia się rzeczywiście kulturę muzyczną, czy czas poświęca się może banałowi? Bo jeśliby zachodził ten drugi wypadek, imponującej liczby Zjednoczenia przestraszylibyśmy się tylko. Wydaje mi się, że należy pomyśleć i podyskutować. Z repertuarem śpiewaczym nie jest najlepiej. Stwierdził to niezbicie właśnie zlot. Repertuar chórów składał się z utworów pozbawionych wartości — dominowały dyletanckie próby niewiadomych autorów. Pominięto — wprost nie do wiary... — nazwisko Moniuszki. Fakt, ten chyba mówi wszystko. Jest w swej jaskrawości więcej, aniżeli przykry.

A jak jest z materjałem rzutowym chórów kościelnych? Stare, z dobrej się nieraz wywodzące szkoły, noszące oznaki szlachetnego stylu motywy „ozdabia" się tanią, irytującą w swej pospolitej poprawności harmonją. Wyrzuca się do graciarni ciekawe kantyczki, a szerzy się autorytetem często, bardzo często na nieodpowiednim poziomie stojącego organisty zły smak, szych przysłowiowy. Mądrze, aczkolwiek nieco rygorystycznie zwracał na całość zagadnień uwagę Pius X-ty. Więcej jednak od największych napomnień zdziałać tu może czas do przeszłości zaliczając okres zaniku smaku. Więcej zdziałać tu może i musi planowa akcja sfer muzycznych, zmierzająca do rugowania demoralizacji śpiewaków jak i słuchaczy tandety. Wobec zrzeszenia się w jedną organizację, akcja została znakomicie ułatwiona i może bardzo szybko przynieść zupełnie zadawalniające wyniki. Podobnie mogłoby się stać w dziedzinie muzyki kameralnej. Tylko, że teren to jeszcze zupełnie dziewiczy. Dziewiczy, bo niedoceniany. A przecież w nim tkwią największe możliwości, jeśli idzie o pogłębianie kultury muzycznej wśród społeczeństwa. Jakoś trudno przekonać.

W turnieju śpiewaczym w sali Filharmonji wzięły udział chóry z Wielkopolski, Śląska, Pomorza, Lwowa, kieleckiego, lubelskiego, łódzkiego oraz mazowieckiego z warszawską „Harfą", pod dyrekcją Wacława Lachmana, na czele.

Nie tylko ze słowami rzeczowej i życzliwej krytyki, ale i z ciepłem serca witaliśmy chóry z zagranicy. A więc z Francji pod batutą St. Calińskiego *(Marles-Mines)*, z Wiednia chór Związku Stowarzyszeń Polskich, z Czechosłowacji chóry Macierzy Szkolnej, z Łotwy chór „Polskiego Towarzystwa Oświaty" z Rygi, oraz „Harfa" Związku Młodzieży Polskiej z Dźwińska. Wreszcie chóry Mazurów Pruskich (im. F. Nowowiejskiego z Olsztyna pod batutą A. Szajka), oraz ze Śląska Opolskiego (kościelna z Zakrzewia pod dyr. A. Malczewskiego i im. św. Franciszka z Zaborza pod dyr. L. Kubicy). Wreszcie chór Związku Polskich Kół Śpiewaczych na Śląsku Opolskim, a z Niemiec zespoły Okręgu Polskich Kół Śpiewaczych na Brandenburgję oraz Związku Polskich Kół Śpiewaczych na Westfalję. Pomijam w tej chwili wszelkie zagadnienia tyczące się kultury muzycznej. Chcę skonstantować jedno: zagadnienie narodowe pieśni trwa i spełnia wielki, w skali lat, obowiązek. Jest ona nieraz dowodem polskości najbardziej przekonywującym. Przypominają się słowa Augustyna Steffena umieszczone w przedmowie do jego własnego, ponad miarę cennego dzieła: „Zbiór polskich pieśni ludowych z Warmji: „Książka, którą wydaję, jest dla mnie czemś więcej, niż zbiorem pieśni, jest ona pomnikiem polskości. W obliczu materjału pieśniowego, jaki nagromadziłem, Warmja staje się ziemią bardziej polską, niż jakakolwiek inna dzielnica. Muszą to przyznać i Niemcy". Tak nie tylko na naszej północy, ale i wszystkich ziemiach, które się jeszcze dotychczas w granicach Rzeczypospolitej nie znalazły. A w Westfalji, Francji czy Stanach Zjednoczonych jest podobnie, chociaż nieco — siłą faktu — inaczej. Tam słowem i nutą pieśni nie trzymamy kurczowo ziemi, ale zwołujemy okruszyny Narodu, rozsypane po zarobkowych warsztatach, spajamy w jedną gromadę, stawiając opór niszczącej sile obcego środka cywilizacyjnego. I dajemy może niekiedy jedną tylko, jedyną chwilę w życiu — wspólnego tu w Polsce żarliwego wypowiedzenia: „Jeszcze Polska..."

W. NARUSZ

NOWE KSIĄŻKI

Kowalscy Anna i Jerzy. Grucz. 2 tomy. Powieść. Warsz. 1936. F. Hoesick.

Bunikiewicz Witold. Życie w kolorach. Powieść. Warsz. 1936. F. Hoesick.

Rostworowski Karol Hubert. Pisma (Judasz Kaligula, Miłosierdzie). Warsz. 1936. F. Hoesick.

Mickiewicz Adam. Dzieła wszystkie. T. IX Literatura słowiańska, Kurs II; tom XIII. Listy I. Warsz. 1936. Nakładem Skarbu Rzplitej. (T. XIII, str. 62 i 556; t. IX str. 543).

Śledziewski P. i Turski. Jan Bułhak, 30-lecie pracy artystycznej. Z portr. i ilustr. Wilno 1936. Fotoklub.

NIEMIECKA POWIEŚĆ O ŚLĄSKU

Mit o wyższości rasy germańskiej (nordyckiej), lekceważony za granicą jest niezwykle skutecznym środkiem wewnętrznej propagandy państwowej, ponieważ działa na wyobraźnię i schlebia obywatelom. Dlatego publikacje, operujące tym mitem, mogą w każdej chwili liczyć na poparcie sfer miarodajnych i życzliwe przyjęcie przez czytelników.

Taką właśnie publikacją jest „Grodzisko”, Jerzego Langera, szumnie przez autora nazwane powieścią poetycką Wrocław 1935).

Rzecz dzieje się w okolicy dzisiejszego Wodzisławia na polskim Górnym Śląsku w r. 1241, tuż przed bitwą pod Legnicą. Na kasztel zwany Grodziskiem napada czambuł Tatarów pod wodzą brata chanowego Ordu. Dzięki podstępowi obrońców, czambuł ten ginie doszczętnie podczas przeprawy przez bagna.

Tatarzy są jednakże tylko jakby egzotyczną dekoracją i obrona kasztelu tłem dla przedstawienia tego, o co autorowi chodzi. A chodzi mu o wiele rzeczy, gdyż wszystkie prawie aktualne zagadnienia polsko-niemieckiego współżycia poruszone są w tej niewielkiej książce, mającej ponadto uzasadnić prawa niemieckie do Śląska, usprawiedliwić germanizację tej dzielnicy, a przedewszystkiem wykazać, jakie to walory kulturalne i moralne posiadali i posiadają Niemcy w przeciwieństwie do małowartościowej, niewolniczej rasy słowiańskiej.

Ten ostatni i główny cel autor osiąga w sposób prosty i niewybredny: przez przeciwstawienie charakterów osób działających. Osoby te dzielą się na dwie wyraźne grupy, niemiecką i polską. Do pierwszej należą oczywiście postaci świetlane, uosobienia męstwa, mądrości, cnoty i piękności fizycznej, do drugiej „czarne charaktery”, istoty małowartościowe, brzydkie, zasługujące jedynie na litość, jeżeli nie na zupełną zagładę.

Mamy więc z jednej strony starego rycerza Godharda, założyciela i właściciela kasztelu, uosobienie powagi i cnót rycerskich o nieograniczonej, wprost książęcej władzy. Z drugiej strony widzimy śmiesznego rycerza polskiego, Don Kichota, udającego się na *„Aventüre“*, gardzącego ludem polskim, a pełnego uwielbienia dla Niemców i ich kultury. Dalej widzimy głównego bohatera dramatu giermka Reinera, przyszłego zięcia i spadkobiercę Godharda, jak również innych giermków niemieckich, wszystkich mężnych i cnotliwych, ceniących ponad wszystko cześć rycerską, a naprzeciwko nich jedynego giermka polskiego Jonasza, podstępnego tchórza i kłamcę.

Białogłowy reprezentuje godnie córka kasztelana Gieselinde (*„holde Frauen“*), wcielenie piękności, cnoty i poświęcenia, oraz stara dwórka Bibianna, niewdzięczna złośnica i intrygantka, która jest jakoby głową spisku polskiego podczas obrony kasztelu.

Pozostali obrońcy dzielą się również na dwa obozy rasowe. Autor nie szczędzi czarnych barw i złośliwej ironji, aby różnicę tę uzasadnić i owe „resztki tubylczej ludności słowiańskiej”, jak mówi, odsądzić od czci i wiary, wykazując na każdym kroku jej małowartościowość.

Słusznem jest twierdzenie wydawcy w ulotce propagandowej, że „Grodzisko” nie zawiera żadnych momentów antagonizmu polsko-niemieckiego. Nie może ich zawierać, gdyż Polaków, zdaniem autora, na Śląsku wogóle nie było. Była tylko jakaś podająca się za Polaków ludność słowiańska, zasługująca jedynie na ostatnią pogardę i w dziwacznem zaślepieniu nie uznająca dobrodziejstw, jakie jej dawała z rąk kolonistów niemieckich zupełna germanizacja. Że przy okazji ośmieszone zostało gruntownie w osobie Dubiesława rycerstwo polskie, trudno się autorowi dziwić, gdyż w myśl swego założenia wyższości rasy niemieckiej, nie mógł on uznać rycerza polskiego za równorzędnego.

Poza problemem wyższości rasy następną tendencją „Grodziska” jest wykazanie praw niemieckich do Śląska. W tym celu posługuje się autor dość nudnemi przemówieniami, zawierającemi znane twierdzenia, a wygłaszanemi w różnych okazjach przez rycerza Godharda. Na uwagę zasługuje fakt, że rycerz ów był również bardzo zdolnym, jak na swe czasy, archeologiem, kiedy podczas budowy kasztelu potrafił zakwalifikować odkryte znaleziska jako należące do kultury germańskiej.

Trudno się dziwić, że wobec tak różnorodnych i ważnych zadań książki, autor nie mógł poświęcić należytej uwagi jej budowie, wskutek czego fabuła powieści jest niesłychanie zagmatwana i do końca nie wiadomo, na czem akcja polega. Stworzone przez autora sytuacje są niejasne, a rozwiązanie ich nierealne i nielogiczne.

Autorowi nie zależało najwidoczniej na dokładnem zaznajomieniu się z przedmiotem, ani też na logicznej konstrukcji powieści. Dla niego jest rzeczą obojętną, czy tatara nazwie moskalem, a zagrodę polską kibitką (Kiebitke), bo czytelnik się na tem nie pozna, a zamierzony efekt zostanie i tak osiągnięty. A gdyby nawet ktoś miał jakie wątpliwości, to autor napisał przecież nie traktat naukowy, lecz dzieło poetyckie, mające urabiać masy, zwłaszcza młodzież, więc może dać folgę swej poetyckiej fantazji! Napuszony styl, proza rytmiczna, przechodząca często w biały wiersz, a naśladująca celowo, choć nieudolnie język średniowiecza, wynagrodzić mają czytelnikowi wszelkie braki w konstrukcji utworu i wiadomościach autora.

„Grodzisko“ napisane zostało najwidoczniej dla bezkrytycznej młodzieży, gdyż w dorosłym czytelniku, nawet o przeciętnym poziomie umysłowym, musi ono budzić niesmak z powodu zbytniej przesady autora w nienawiści do rasy słowiańskiej. Bezwzględne i brutalne naigrawanie się z ludności polskiej, z jakiem spotykamy się w książce na każdym kroku nie mieści się już w ramach przyzwoitości i—pomijając wszelkie inne braki—dyskwalifikuje dzieło i autora.

A jednak — prasa niemiecka donosi, że właśnie „Grodzisko” jest jedną z dwu najbardziej poczytnych książek w krajowej bibljotece samorządowej w Raciborzu.

O ile omawiany utwór Langera mamy przyjąć jako programową opinję oświeconych sfer społeczeństwa niemieckiego na temat sąsiedzkich stosunków z Polską, to należałoby nadmienić, że na współpracy takiej, jak ją autor pojmuje i w książce swej przedstawia, społeczeństwu polskiemu zależeć nie może. A. J.

NA MARGINESIE

Ktoś czytał podobno okólnik, wystosowany do wójtów, a opiewający, że „na przyszłość szerzenie opowieści o Pyrzach i rzekomej obronie chłopów przed Tatarami względnie Szwedami i t. p., surowo jest wzbronione. Ktoby takowe wieści powtarzał, karany będzie za zakłócenie spokoju publicznego”.

Politycy żydowscy upatrują w tem zarządzeniu, o ile ono jest prawdziwe, myśl zapobiegawczą, aby w przyszłości nie sypano kopców na pamiątkę obrony od żydów. Krążą jednak inne interpretacje.

*

W jednym z tygodników literackich p. Bolesław Miciński zamieścił recenzję zbiorku wierszy pani Loli Szereszewskiej... Recenzję zamyka z całą powagą takiem zdaniem:

> „W tem połączeniu głębokich uczuć religijnych z ekstatyczną miłością przypomina Pani Lola Szereszewska Dantego, z drugiej strony w wstępnej refleksji, będącej wyrazem męki twórczej, zbliża się do Goethego i Schillera”.

Trzeba przyznać, że pani Lola przechodzi do nieśmiertelności w dobrem towarzystwie...

*

Rutyna i postęp.
Urągał tramwaj autobusowi,
Że bez szyn chodzi.
A on mu na to odpowie:
— Co to panu szkodzi?

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM